Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 30 czerwca 1935 r. Nr. 26.



Wspomnienia...

Wspominam często twoje oczy,
Tęskne i smętne ich spojrzenia,
Które cień smutku lekko mroczy —
I snuję złotą nić marzenia.

Wspominam często twoje oczy,
Ich balsamiczne, błogie tchnienia,
Blask ich cudowny za mną kroczy
I smutki w radość mi przemienia

Wspominam często twoje ręce,
Alabastrowe, śliczne dłonie —
Nieraz mi ulgę dały w męce,
Gdym chłodził niemi swoje skronie.

Wspominam często usta twoje,
Boś nieraz niemi wyszeptała,
Że będziesz zawsze mnie kochała —
Dziś nas ze sobą przestrzeń dzieli...

Choć to musiało być koniecznie,
Jednak serc naszych nic nie rozdzieli,
Gdyż kochać będziem siebie wiecznie...

„ORD-OM".

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

9)

Pani Gabrynia znała ją jeszcze z czasów, gdy ani jednej ani drugiej nie śniło się, że zostaną żonami polskich oficerów. Ujrzawszy ją tu, szła ku niej z przyjaznym uśmiechem powitania, szczerze rada z niespodziewanego spotkania, ale pani pułkownikowa na jej uśmiech odpowiedziała zmrużeniem powiek i łaskawem wyciągnięciem końców palcy.

Znikł uśmiech z warg pani Gabryni i serce ścisnęło się przykrością. — Ach tak, szefowa sztabu, pułkownikowa...

Pobieżnie przywitała się z resztą pań i nie zatrzymując się dłużej szła do bufetu w poszukiwaniu pani Reny. Lecz i tam jej nie było, natomiast ujrzała dyrektora zajętego ożywioną rozmową z pułkownikiem Daszkowskim, smukłym, zgrabnym mężczyzną o ślicznej twarzy i wdzięcznych ruchach.

— Że też chciało mu się brać taką starą żonę — pomyślała raczej z podziwem niż ze zdziwieniem.

Nagle pułkownik Szneliński urwał w pół zdania i pobladł lekko.

Idąc za jego spojrzeniem szef sztabu spostrzegł panią Gabrynię, która przystanęła opodal, witając się z adjutantem.

Oczy szefa sztabu zamigotały domyślnością.

I on już coś nie coś słyszał o dziwnem zachowywaniu się pułkownika w stosunku do pani Gozdawiny, ale nie wierzył temu, aż tu dziś sam zauważył to na własne oczy.

Młody i piękny pułkownik znał pania Gabrynie. Spotykał ja nieraz na wyścigach, wieczorkach, ale nie interesował się nią zbytnio. Choć żonę miał dużo starsza od siebie i niezbyt urodna, wybredny był co do kobiet. Istniały dla niego tylko młode i ładne. Wrażenie, jakie obecność pani Gabryni uczyniła na pułkowniku Sznelińskim zaciekawiło go.

Majac taka żonę... pomyślał sobie ze zdumieniem. Interesować się inna kobieta przy tak ładnej i uroczej żonie. Co innego on... Jego małżeństwo było związkiem rozumu, nie serca. Inni żenią się dla pieniędzy. On miał młodość, urode i wygórowana ambicię, ona stosunki postawe, wyrobienie towarzyskie. Młodość ci jej nie zaprzedał, bo niby motyl przelatywał z kwiatka na kwiatek, a stosunki jej pomogły mu do awansu i stanowiska i pomogą jeszcze...

Ale pani Rena... to urocze, rozkoszne dziecko, o zdziwionych oczach i filuternych dołkach.

Gdyby nie była pułkownikowa... a on szefem sztabu i mężem swej żony. —

Obejrzał panią Gabrynię krytycznie okiem znawcy.

— Figurka niczego, nóżki cacy, no i oczy jak gwiazdy... Że też tego nie zauważyłem przedtem — zdziwił się szczerze — Szneliński jak widać lepszego ma nosa ode mnie. —

Pani Gabrynia, nie przeczuwając tak różnorodnych wrażeń, które obudziła w obydwu mężczyznach, zbliżała się w ich stronę, oglądając się za mężem. Ale Olgierd zawieruszył się w tłumie i znalazła się sama przy pułkownikach.

— Zginał mi mąż — skarżyła się pułkownikowi Daszkowskiemu, chcąc zatrzeć onieśmielenie, które ją ogarnęło w tym tłumie.

Trzy lata już tu nie była! —

— Służę pani — ofiarował się szef sztabu podając jej ramię — idziemy na poszukiwanie zguby.

Zagrała muzyka.

Nie pytając o pozwolenie objął ją wpół i popłynęli za innymi po sali w takt muzyki.

— Zrobiłem odkrycie — szepnął, patrząc jej znacząco w oczy. Był dużo wyższy od niej i musiał schylać głowę, gdy patrzył jej w oczy.

Nie domyślała się jakie i oczy jej nie zmętniały pod jego wzrokiem.

— Jakie? — odszepnęła.

— Że pani warta jest grzechu... —

Roześmiała się. Pochlebił jej ten komplement pięknego i wybrednego pułkownika.

— U pana pułkownika co na placu to nieprzyjaciel — odcięła się żartobliwie.

Przycisnął ją mocniej do siebie.

— Ma pani rację, ale nieprzyjaciel ten musi mieć dużego wabika, takiego jak pani naprzykład —

— Panie pułkowniku, bo dzięki panu komplementom stanę się zarozumiała. — przestrzegała go żartobliwie.

Po skończonym tańcu poszła przywitać się z panią Reną, która siedziała obok generałowej.

— Widzę, że pani się dobrze bawi — zauważyła chłodno, jakby z urazą, pani Rena.

— Doskonale, — potwierdziła pani Gabrynia — widząc zbliżającą się pułkownikową Daszkowską.

— Pan pułkownik tańczy cudownie — zwróciła się do pułkownikowej z kłującym uśmiechem.

— Owszem i lubi tańczyć — potwierdziła spokojnie dystyngowana pułkownikowa, tylko oczy jej zamigotały gniewem i urazą. —

— — — — — — — — —

I znów tańczyła z pułkownikiem drugi, trzeci, czwarty taniec, uśmiechając się zalotnie na jego niedwuznaczne komplementy.

W tańcu minęli się z pułkownikiem Sznelińskim, tańczył z panią Protopow tango.

Rzuciła mu rozbawione spojrzenie, na które odpowiedział zmarszczką niezadowolenia.

— Zazdrosny? — spytał jej tancerz, pochylając się nisko ku jej twarzy.

— Może... Uśmiechnęła się zagadkowo, potwierdzająco.

Przechodząc w przerwie obok pułkownikowej Daszkowskiej rzuciła jej z pod rzęs prędkie, drwiące spojrzenie.

— Robię ci na złość, wielka pani — mówił wyraźnie ten wzrok, rzucał wyzwanie.

Odczuła ten wzrok pułkownikowa i widać zrozumiała jego znaczenie, bo usta jej drgnęły, a palce szarpały nerwowo chusteczkę. — Och, jak to ciężko jest starszej kobiecie być żoną młodego, przystojnego męża.

— Jak widzę, to nietylko ja mnie są zazdrośni — zauważyła, robiąc nacisk na „nietylko."

Zaśmiał się pułkownik wesoło, cynicznie.

— Moja żona miała czas przyzwyczaić się...

— Nie chciałabym być na jej miejscu wobec tego — wyzywała go.

Przygarnął ją mocniej do siebie i szepnął znacząco.

— Gdyby pani była na jej miejscu...

— Nie dałabym panu pułkownikowi takiej swobody — dokończyła za niego.

— Czy młodego orła można spętać — odciął się.

Spojrzała mu w oczy wzrokiem, w którym migotała ironja.

— Raczej jastrząb...

Nie obraził się. Potrząsnął głową. — Nie, orzeł — upierał się.

— Orzeł nie żeruje w cudzych podwórkach, więc tylko jastrząb — podtrzymywała swe zdanie.

Pokręcił z uznaniem głową. — Alež z pani cięta osóbka! I drażniąca... — to ostatnie więcej do siebie niż do niej.

Skończył się taniec.

Pani Gabrynia podeszła do męża, który odprowadziwszy swoją tancerkę, oglądał się za żoną.

— Chodźmy już...

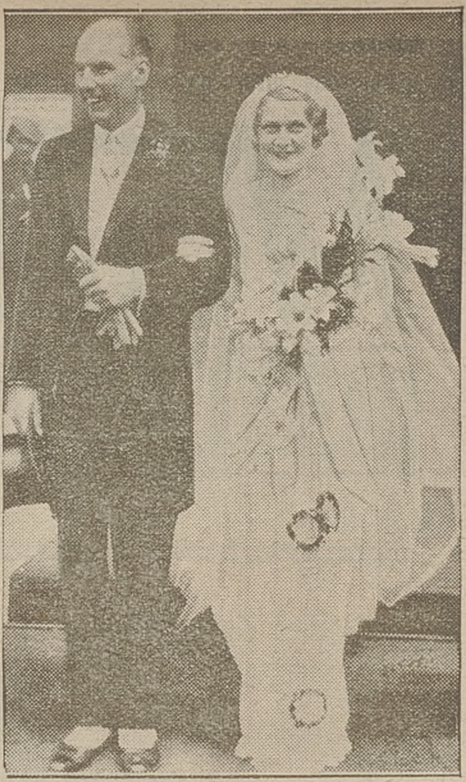
Wyszli niezauważeni przez nikogo.

Próżno upatrywał pułkownik Daszkowski pani Gabryni w tłumie pań.

— Odeszła — pomyślał ze zdumieniem. Było to dla niego rewelacją, że znalazła się kobieta, na której jego komplementy nie zrobiły wrażenia, nie zawróciły głowy.

Poweselała pułkownikowa i uśmiech jej stracił swoją sztuczność i wymuszenie.

* *



Syn znanego parlamentarzysty mister G. S. Milson-Fox ożenił się z artystką filmową Marjanną Winkelstern.

Pułkownik Szneliński obudził się po dwuch godzinach snu z silnym bólem głowy i uczuciem podrażnienia.

Naturalnie ten jego humor odbił się na podwładnych.

Dostało się sekretarzowi, naczelnemu inżynierowi, zarządcy budynków, magazynierowi.

Nie poskąpił też swego złego humoru i majstrom i mechanikom.

Wszędzie zajrzał, wszystko skontrolował, nawet stajnie i składy węgla.

W kantynie fabrycznej zrobił formalny pogrom w artykułach spożywczych, część których kazał wyrzucić na śmietnik.

A ryczał przytem, aż echo niosło po dziedzińcu.

W ambulansie skrzyczał sanitarjusza od osłów i brudasy.

— Czego ja się tak ciskam — myślał, sam siebie krytykując.

— Cóż oni winni, że mam „Katzenjammer“ — kociokwik inaczej, po polsku — i dlaczego mają pokutować za moje nastroje? — a mimo to nie starał się zapanować nad sobą. Dobrze mu robiło takie wyładowanie się.

— Wściekła się, bo pani Gozdawina flirtowała z szefem sztabu, na niego nie zwracając uwagi. Bąk zazdrości go ugryzł... Pilnowałby żony i dziecka zamiast latać za inną — szemrali po cichu skarceni urzędnicy.

— A dyrektor buszował w dalszym ciągu.

Jedna tylko Gabrynia nie przejmowała się niczem. Wyprawiła do biura męża, posłała dzieci na spacer, a sama krzątała się po mieszkaniu. Otworzyła w dziecinnym pokoju okno i trzepała przez nie ubranka dzieci.

Zaczęła nadsłuchiwać. Z placu dochodził ją podniesiony gniewem głos dowódcy.

— Biedaczysko, nie wyspał się i jak prawdziwy mężczyzna spędza swe niezadowolenie na innych.

Pochowała ubranka do szafy, uporządkowała pokój i podeszła do okna, by je zamknąć, ale zatrzymała się, bo tuż pod oknem przechodził pułkownik z kwatermistrzem.

— No co, naburczał się już pan pułkownik dosyć — zaczepiła go rozmową.

Zatrzymał się. Zły nastrój prysnął, twarz rozjaśniła się zadowoleniem.

— Owszem, dałem szkołę dziś wszystkim urzędnikom potrochu — przyznał się.

— A powód? — spytała, zmrużywszy domyślnie oczy.

— Niewyspanie — potwierdził.

— Czysto po męsku — zrobiła mu wymówkę.

Stali naprzeciw siebie uśmiechając się porozumiewawczo, jak dobrzy przyjaciele, lub jeszcze coś więcej.

— Nie wiedziałem, że z pani taka flirciarka — zrobił jej żartobliwą uwagę.

— Dużo rzeczy nie wiedział pan i nie wie o mnie — odrzuciła znacząco.

Pobladła mu twarz, błysk zadowolenia znikł z oczu, a usta zacięły się boleśnie.

— Ma pani rację...

Skinęła mu głową i cofnęła się od okna, a on poszedł do siebie.

Zły humor i ból głowy wróciły.

— — — — — — — — —



W tych dniach bawiła w Niemczech wycieczka 20 studentek indyjskich uniwersytetów.

Zadzwonił telefon. Pani Gabrynia podniosła się od stolika przy którym siedziała naprawiając sukienkę Joli i zdjęła słuchawkę z widełek.

— Proszę...

Mówiła pułkownikowa Daszkowska swoim powolnym tonem, matowym głosem.

— Czyby państwo nie mogli zajść do nas na herbatkę popołudniową? Właśnie znalazłam fotografje wojenne, które powinny zaciekawić panią.

Pani Gabrynia zagryzła wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Odpowiedziała tonem najsłodszym na jaki się tylko mogła zdobyć.

— Bardzo mi przykro, pani pułkownikowo, ale niestety jesteśmy dziś zajęci całe popołudnie i wieczór. Dziękuję w w imieniu męża i swojem za tak zaszczytną dla nas uprzejmość.

Głos pułkownikowej zabrzmiał dziwnie ostro:

— Przykro mi. Tak się cieszyłam na tę wizytę.

— Żałuję mocno, pani pułkownikowo...

— Dowidzenia...

— Dowidzenia...

Położyła słuchawkę i roześmiała się na głos.

— Masz nauczkę głupia, zarozumiała gęś. Nie potrzebowałam długo czekać na odwet. —

Zaśmiała się znów.

Taktyka pułkownikowej w stosunku do młodych i ładnych pań znana była ogólnie w sferach wojskowych.

Gdy pułkownikowi wpadnie w oko jaka młoda i ładna kobietka, nie robi mu nigdy scen zazdrości.

Ale jak tylko zauważy jaki flirt zaprzyjaźnia się odrazu z tą osóbką, zaprasza ją do siebie, proponuje wspólną jazdę konną, chodzi z nią lub jeździ na spacery. O ile to jest która z żon oficerów pułku zadanie ma ułatwione. Są nierozłączne.

Ma możność śledzenia rozwoju flirtu, kontrolowania każdego kroku i rywalki i męża.

A gdy przekona się, że flirt ten wchodzi w fazę gorętszą, lub przechodzi w coś poważniejszego, piękna blondyna, bo brunetek nie lubił, znika z pułku wraz ze swoim mężem, dziećmi, o ile je ma, psem, kotem, jeżeli je hoduje, rzeczami. Wyjeżdża żegnana uprzejmie, prawie czule, przez dowódczynię, która tak lubiła przemiłą panią Tunię, Munię, Kukę, Lukę, Bunię lub inną jeszcze „unię“.

Ostatnio miało to miejsce z porucznikową Dadą Chwaścikową, zamożną z domu rodzicielskiego, ładną, niezależną, dość sprytną, by uniknąć pułapki dowódczyni, a jednocześnie na tyle niedoświadczoną, że zlekceważyła sobie osobę pułkownikowej i jej stosunki wśród wyższych sfer.

Flirtowała zawzięcie z młodym przystojnym dowódcą, zresztą flirt ten był dość niewinną zabawą z jej strony, unikając jednocześnie starannie spotykania się z dowódczynią, wymawiając się od wizyt u niej.

Zaniepokojona pułkownikowa nie spała kilka nocy z rzędu, straciła dużo godzin chodząc po mieszkaniu niby lwica w klatce, wreszcie wyjechała do Warszawy na dni kilka. W tydzień potem porucznik Chwaścik otrzymał zawiadomienie, że jest przeniesiony do Warszawy i ma się zameldować niezwłocznie swemu nowemu dowódcy.

Wyjechali oboje, żegnani obiadem w kasynie i pięknym bukietem kwiatów, ofiarowanym przez dowódcę pani Chwaścikowej, a przyjęty przez nią z czarującym uśmiechem podziękowania.

Gdy powóz, uwożący porucznika i jego żonę, znikł za bramą koszarową, pułkownik popatrzył na żonę przez rzęsy zmrużonych powiek i gwizdnął przeciągle.

Niby zajęta obrywaniem zeschłych liści z kwiatów, udała, że nie zauważyła jego spojrzenia ani słyszała gwizdania.

— — — — — — — —

Niedługo trwał stan spokoju pułkownikowej.

Na firmamencie uczuciowym pułkownika zajaśniała nowa gwiazdka. Była nią żona doktora powiatowego, zalotna, zmysłowa kobieta lat trzydziestu kilku, czarnowłosa, niebieskooka, pulchna, znudzona życiem na prowincji, brakiem wrażeń i podniet.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

19)

— Acha — zawołała gospodyni, uderzając się w głowę — teraz już wiem! dlaczego zapomniałem nazwisko tego przyjezdnego. Stało się to z przyczyny, iż to on sam wpisał do księgi wszystkie te dane, gdy ja szukałam dziesięciu franków, ażeby mu je wydać z danego mi luidora. Widzisz pan przecież, że meldunek ten jest zapisany zupełnie innym charakterem pisma, aniżeli wszystkie pozostałe.

Lekok sam to już zauważył. Był to dowód oczywisty, niezbity i potężny, jak uderzenie maczugą w głowę.

— Czy pani pewna jesteś — wymówił wreszcie do tego stopnia oszołomiony i pomieszany, iż zapomniał o przybranym akcencie angielskim — że człowiek ten własnoręcznie wpisał się do księgi? Mogłabyś przysiądz na to?

Mimo całego swego roztrzepania, młoda kobieta tę zmianę akcentu zauważyła odrazu, obrzucając natychmiast mniemanego cudzoziemca bystrem spojrzeniem.

— Ja wiem co mówię — powiedziała sucho — a zresztą, myślę, iż udzieliłam panu informacji aż nadto dosyć Prawda?...

Młody policjant spostrzegł, iż się zdradził, odrzucił więc odrazu wszelkie udawania.

— Walizę tego podróżnego masz pani zapewne? — zawołał gwałtownie, akcentem zdecydowanie i czysto już paryskim — miałbym wielką ochotę rzeczy te zobaczyć!

— Czyś pan zwarjował?! — zawołała ze zdumieniem gospodyni — za kogo mnie bierzesz i kim sam jesteś?

— O tem dowiesz się pani niezadługo — odpowiedział Lekok, wybiegając z kantoru. Następnie udał się pędem do właściwego komisarjatu, by otrzymać w nim pozwolenie na przejrzenie rzeczy tajemniczego nieznajomego i zasięgnąć o właścicielce hotelu języka.

Naczelnik komisarjatu był dobrym znajomym młodego ajenta, to też przyjął go odrazu i bardzo grzecznie.

Gdy się dowiedział od Lekoka, o co mu chodzi, odpowiedział, iż właścicielka hotelu istotnie dawała znać o zniknięciu podróżnego, a następnie zapytał się, czem by mógł mu dopomódz?

— Pójść ze mną do hotelu, by nam pokazała walizę ową, a następnie zawołać ślusarza i dać mu rozkaz, ażeby nam walizę tę otworzył. Oto jest upoważnienie, jakie mi dał sędzia śledczy, do robienia wszelkich poszukiwań. To też proszę cię, panie komisarzu, nie traćmy czasu, moja dorożka czeka przed bramą.

— Jedźmy — zgodził się krótko komisarz.

Gdy zajęli miejsca w powozie, młody policjant w te odezwał się słowa:

— Możeby pan komisarz zechciał mi coś powiedzieć o właścicielce Marienburskiego hotelu?

— Ależ i owszem — odpowiedział zapytany — jest to kobieta ciesząca się ogólną sympatją i szacunkiem. Znam ją dobrze, bo przez szereg lat stołowałem się u niej, a mój sekretarz, Kazimierz, jada tam do dziś. Pozatem pozostaje ona w stanie wdowim tylko dlatego, że go sama zmienić niechce, bo z pewnością miałaby sporo amatorów tak na siebie. jak i na swój wcale dostatni mająteczek.

— Więc pan nie przypuszcza, by ta pani Miller, jak ją pan nazwałeś, mogła się zgodzić, za pieniądze, na oddanie usługi jakiemuś złoczyńcy, bardzo, przypuśćmy bogatemu?

— Zwarjowałeś chyba! — zawołał oburzony komisarz — pani Miller miałaby wchodzić w konszachty ze złoczyńcami! Nie, hipoteza ta nie wytrzymuje krytyki. Mówiłem ci przecież, że właścicielka hotelu Marienburskiego jest osobą nietylko majętną, ale i uczciwą! A zresztą, ona jeszcze wczoraj wieczorem zawiadomiła mnie o wypadku..

Gdy Lekok wraz z komisarzem znalazł się ponownie w kantorze hotelowym, pani Miller odrazu zorjentowała się w sytuacji.

— Herr Jesus! — zawołała — więc to tajny ajent! Powinna byłam domyślić się odrazu! Więc to jakaś zbrodnia! Przepadła dobra reputacja mego hotelu!

Po pewnym czasie Lekok został zaprowadzony do pokoju tajemniczego podróżnego i ujrzał jego walizę. Nie mogło ulegać żadnej wątpliwości, iż przybyła ona z Lipska, różne kartki kolejowe aż nazbyt wyraźnie mówiły o tem.

Gdy zaś otworzono ją — znajdowało się w niej wszystko jak Maj opowiadał.

Lekokowi stężały ręce i nogi, ociężała głowa.

Bez słowa opuścił numer, a następnie zaczął schodzić ze schodów odbijając się to o poręcz, to znów o ściany, zupełnie jak człowiek pijany.

XXIV.

Gdy Lekok opuszczał progi hotelu Marienburskiego było około północy. Noc karnawałowa była u szczytu napięcia. Wszędzie było pełno, na ulicach, w kawiarniach i publicznych balach.

Dusza młodego ajenta była daleka jednak od ogólnego wesela. Owszem, z zaciśniętemi zębami, z jakąś głuchą nienawiścią przeciskał się przez szalejące tłumy. Dokąd dążył? — nie zdawał sobie z tego sprawy; szedł przed siebie, oto wszystko.

— Trzeba się poddać — mówił do siebie i uznać, iż przypuszczenia moje oparte były na wypadkowym zbiegu faktów, które połączone, rzuciły najzupełniej mylne światło na przebieg dosyć zwykłych, przeciętnych, jak się okazuje faktów. Nie pozostaje mi teraz nic innego, jak przyznać się do winy i starać się o to jedynie, by to niepowodzenie moje jaknajmniejszą okryło mnie śmiesznością.

Z temi niewesołemi myślami doszedł, sam nie wiedząc jak, do brzegu rzeki. gdy jednak ujrzał jej czarne, rozświetlane błyskami latarń, wody, na jego umysł padła nagle błyskawica, że aż zakrzyknął głośno:

— Cóż ze mnie za głupiec!

I zaczął się bić pięściami po głowie w bezpamiętnym szale.

— Czyż to możliwe — mówić zaczął do siebie, gdy się nieco uspokoił — bym ja, taki mocny w teoretycznych wywodach, tak bardzo był słaby w chwili stosowania ich w praktyce! Ależ ja jestem dziecko, stara baba, niedołęga, którego byle co zdoła sprowadzić z drogi i w pole wywieść!

Zastanówmy się na zimno. Jak oceniłem obwinionego? Że jest to człowiek o umysłowości wyższej, bogatej wiedzą, doświadczeniem, o bardzo dużej przytem przebiegłości. To sobie powiedziałem. I oto teraz, pierwszy z brzegu fakt odrazu wyprowadza mnie z równowagi, wykoleja, bezwzględnie zbija z tropu. A przecież nie może ulegać wątpliwości, iż ów Maj, jako człowiek niezwykle zręczny, nie pójdzie zwykłemi torami wykrętów, lecz wynajdzie sposoby nie przeciętne, nieznane, niepraktykowane dotychczas. To jest niewątpliwe. A jeżeli jest to fakt, to im bardziej jakieś „dowody mówić będą o jego niewinności, tembardziej ja, ja, powinienem być przekonany o jego winie właśnie.

I młody policjant wybuchnął głośnym śmiechem.

— No — zawołał wesoło — logika moja, gdybym ją tak wyłożył Żewrolowi, zaprowadziłaby mnie, być może, do szpitala obłąkanych. Ale to nic, bo ja się śmiać będę ostatni.

Młody ajent, po wywodach tych, które pokrzepiły go bardzo, szybkim krokiem podążył do swego mieszkania, w którem, ku nie małemu swemu zdziwieniu, zastał oczekującego nań Nalewajkę, znajdującego się w fatalnym stanie. Był cały zabłocony i brudniejszy od kundla, którego trzy dni nie było w domu, oczy miał zamglone i wąs obwisły smutnie.

— Złe mi, widzę, przynosisz wiadomości — powiedział do niego Lekok — ludzie których śledziłeś wymknęli ci się z rąk?

Stary skinieniem głowy jedynie potwierdził prawdę tych słów.

— Jest to nieszczęście, duże utrudnienie w naszej pracy, lecz nic jeszcze straconego. Głowa więc do góry, a jutro naprawimy zło.

Stary policjant nie dał się jednak pocieszyć łatwo, lecz głośno się oskarżać zaczął, iż wszystkiemu jest winna ta wód ka przeklęta i że on jest pijakiem nie zasługującym na pobłażanie.

— Panie Lekok — zaczął nakoniec opowiadać, po tych przedwstępnych wyrzutach — początkowo szło wszystko jaknajlepiej i zapewne pan otrzymał mój list, w którym doniosłem, iż idę w ślad za chłopcami, którzy rozpoznali Gustawa?

— Czytałem ten list. Cóż się działo dalej?

— Podążyłem za nimi do kawiarni, w której moi chłopaczkowie ciągnęli już Vermouth aż miło, zapewne na pociechę po zmarłym przyjacielu. Potem zabrali się do śniadania. Ja zrobiłem to samo. Absynt, wino czerwone, potem wino białe, wreszcie koniak i likiery (było również i coś do zjedzenia, lecz na to mniejszą zwracałem uwagę) — za-

jęły sporo czasu. Aż nakoniec zaczęli płacić i wyszli: „Dobra nasza — pomyślałem sobie — idą do domu, mam więc chłopaczków w kieszeni"... Ale gdzie tam! Urwipołcie przeszli sobie do innej tylko kawiarni. Przeczekałem jakieś dziesięć minut na ulicy, a potem chyłkiem wsunąłem się do wnętrza, by stwierdzić, że grają sobie w bilard. Cóż miałem robić? Usiadłem w kącie i kazałem sobie podać kawy i koniaku, bo na te lemoniady patrzeć nie mogę; zwłaszcza po jedzeniu. Wiedząc o tem, iż jestem na służbie, ciągnąłem z kieliszka bardzo oględnie, ale cóż?... po jakimś czasie przysiadł się do stolika mego jakiś, sądząc z wyglądu, mieszczanin-poczciwina. Gadu, gadu... w końcu zaproponował mi partję pikiety. Spojrzałem na młodzieńców i cóż zobaczyłem? Grali w piramidkę z taką zaciętością, iż o tem, by prędko skończyli — nie mogło być mowy. Więc się zgodziłem. Przynoszą karty, a z nią — butelkę benedyktyna. Oburzyłem się na razie, ale potem — cóż robić miałem? — wziąłem się do picia, zwłaszcza że staruszek zapraszał bardzo serdecznie. Gdyśmy zobaczyli dno butelki, musiałem i ja coś postawić... Zdecydowaliśmy się na Martela, młócąc w karcięta z coraz większem ożywieniem.

— Cóż było dalej? Mów, bo mnie pali ciekawość.

— Co było dalej pytasz?... Niestety, już sobie nie przypominam. Wiem tylko tyle, iż w końcu zasnąłem i że zbudził mnie kelner na moment przed zamykaniem zakładu. Oczywiście, ani młodzieńców owych, ani mego kompanjona w kawiarni już nie było. Wyszedłem więc, zacząłem się tułać po ulicach, aż wreszcie powiedziałem sobie, że pójdę do pana.

Ku ogromnemu zdziwieniu Nalewajki, Lekok zdawał się być bardziej zamyślony, aniżeli gniewny.

— Cóż ty myślisz o tym mieszczaninie, ojcze? — zapytał.

— Myślę, iż przyszedł on do kawiarni po to tylko, ażeby mnie spić.

— Jak wyglądał?

— Wysoki, dość tęgi w sobie, twarz miał szeroką i czerwoną z krogulczym nosem, przy minie starego wygi.

— To on!... zakrzyknął Lekok.

— On?!... Co za on?

— Wspólnik, człowiek, którego ślady odnaleźliśmy na śniegu, rzekomy pijak, djabeł wcielony, który nas zawsze wystrychnie na dudków, jeżeli nie będziemy trzymać się ostro. Radzę ci to mieć w pamięci, stary.

Ale Nalewajka nie skończył jeszcze swej spowiedzi, najcięższy swój grzech pozostawił na sam koniec.

— Panie Lekok — zaczął układnie — zechciej mnie spokojnie wysłuchać do końca, bo mnie, widzi pan, coś się tak zdaje, że ja temu mieszczuchowi, czy wspólnikowi, jak go pan nazywasz, opowiedziałem wszystko, od a do zet, co o tej całej zbrodni wiemy i co pan czynić zamierzasz...

Lekok po usłyszeniu tych słów, zerwał się z krzesła w postawie tak groźnej, że Nalewajka cofnął się przerażony.

— Nieszczęsny!... — zawołał Lekok — cóż uczyniłeś!?... Więc cały nasz plan wydałeś wrogowi!!

Po tym wybuchu Lekok uspokoił się jednak bardzo szybko. Po pierwsze z tej racji, że gniewy nigdy naprzód sprawy nie posuwają, następnie przyszło mu na myśl, że jednak ta czynna akcja wspólnika stwierdzała w sposób niemal niezbity, że scena z walizą i meldunkiem w hotelu Marienburskim jego również była dziełem.



Tak oto wygląda angielski minister wojny, lord Hailsham, w stroju historycznym w oficjalnej asyście.

XXV.

Lekok był bojownikiem z powołania. Przeciwności nie tylko nie zniechęcały go, jak ludzi słabych, lecz przeciwnie — potęgowały jego energję, pobudzały do czynu.

To też po przespaniu kamiennym snem nocy, o godzinie siódmej rano zerwał się żywo na nogi, a budząc Nalewajkę, zawołał wesoło:

— No, stary!... czas wstawać do pracy, musimy dziś porozmawiać z samą panią Hipolitową Szupe.

Odnalezienie synowej właścicielki „Pieprzniczki" nie było zadaniem zbyt trudnem, ponieważ komisarz 13-go cyrkułu poinformował go, iż mieszka ona przy ulicy Butte, nie jest mu wiadomy numer domu jedynie!

Ale dla Lekoka było to aż nadto dosyć. Był pewien, iż poszukiwaną odnajdzie z łatwością.

Synowa wdowy Szupe pochodziła z Owernji i była srodze ukarana za to, iż wybrała sobie na męża niezmnnego paryżanina, a nie współziomka, jak uczynić należało. Przybyła do Paryża, mając lat dwanaście i zaczęła pracować w charakterze robotnicy w jednej z większych fabryk mydeł. Po dziesięciu latach ciężkiej pracy zdołała zaoszczędzić sobie trzy tysiące franków. I wtedy zły los postawił na jej drodze Polita. Zajęła się tym cynicznym, bladym urwisem, co ten wykorzystał, żeniąc się dla jej ubogiej fortuny. Póki starczyło pieniędzy, póty i miłość trwała. Gdy jednak, po upływie czterech miesięcy, ostatni luidor został odebrany z kasy — Polit rzucił odrazu ognisko domowe, wracając do swego dawniejszego życia: do rozpusty i do tak zwanego „lekkkiego przemysłu".

Wracał do żony, gdy już było u niego bardzo źle, by ją okraść z ostatniego choćby grosza. Chciał ciągnąć korzyści i z jej urody, ale się temu oparła. Z tego to właśnie powodu powstała i w starej Szupe niechęć do synowej, za jej „grymasy". Ataki w tej mierze były jednak tak silne, iż młoda kobieta widziała się w końcu zmuszona do ucieczki z ohydnego domu, tak jak stała.

Wszystko to komisarz opowiedział Lekokowi dodając, iż historja młodej kobiety była znana dzielnicy całej, w której była znana pod nazwą „Cnotliwej Annetki".

Tych wszystkich wiadomości było aż nadto dosyć, by odszukać poszukiwaną, to też gdy tylko Lekok, wraz z nieodstępnym Nalewajką, znalazł się na ulicy Butte, pierwsza odrazu zapytana osoba dała mu odpowiedź:

„Cnotliwa Annette" mieszka w tym oto domu na prawo, na ostatniem piętrze. Ciąg dalszy nastąpi.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

LATO

Woń, blask, motyle, barwne tęcze kwiatów,
Snop zbóż rozhalowanych — promieni kaskada,
Śmiech, szczęście, miłość znów na ziemię spada,
Jak czarodziejski zwid przyszły z zaświatów.
Ciepło, radośnie, pierś wdycha haszysze,
Serce upojeń słodka sieć oplata,
Tchnieniem wietrzyku trawa się kołysze,
Szczęśliwsze życie goreje wśród lata.
Tam w cichym lesie, gdy nocka zapada,
Zaklęty, w półsen, słowik tajemniczo
Nuci swe baśnie, czasem znów balladę.
Taką muzyką pieści rozemdlałą
I taką błogą upaja słodyczą,
Że serce z szczęścia prawie bić przestało!

„ORD—OM".

BĄDŹ PEŁNĄ NADZIEI

„Mała Konwalijka." Serdecznie Ci życzę, Kochane Dziecko, abyś otrzymała znowu dobrą posadę i czuła się tak zadowoloną, jak na poprzedniej.

Widzę, że masz bardzo czułe i wrażliwe serduszko. Wywnioskowałam to z opisu o chorej żonie ogrodnika, a teraz znowu z żalu, że nie potrafisz pięknie grać. Nie jest to takie straszne jak się napozór wydaje, bo przecież brak techniki można nadrobić nieustanną pracą nad sobą. Jeżeli będziesz dużo ćwiczyła, zobaczysz, że i Ty nauczysz się ślicznie grać.

Nie martw się więc, Kochanie. Bądź pełną dobrych myśli i nadziei na przyszłość. Jestem przekonaną, że Bóg o Tobie nie zapomni. Otrzymasz nową posadę i będziesz miała znowu pole do wykorzystania Twoich dobrych chęci. Czekaj więc cierpliwie i ufaj!

Ogłoszenia zgodnie z Twojem życzeniem ukażą się i w „Moich Powieściach" i w „Mojej Przyjaciółce."

POSTĄPIŁA PANI JAK NAJLEPIEJ

„Wandzia z B." Korespondencja z jakąś sympatyczną i rozsądną osobą, to niezawodne lekarstwo na nudy i samotność. Sądzę dlatego, że postąpiła Pani jak najlepiej przesyłając list do jednego z Czytelników „Moich Powieści". Wysłałam go przed paru dniami. Odpowiedź zapewnie już nadeszła? Miło byłoby mi się dowiedzieć, czy wybór był szczęśliwy.

Czy mogłaby mi Pani donieść w następnym liście, co skłoniło Panią do wyjazdu na wieś? Przypuszczam, że posada, jednak Pani wyraźnie o tem nie pisze, więc nie jestem pewną swego przypuszczenia. Łączę moc miłych pozdrowień.

ADRESY!

O dokładne adresy, celem przesłania listów, znajdujących się w redakcji, są proszone następujące osoby: „Milutka Janeczka" — „Hrabia Monte Christo" — „Pantuer" — „Tęsknota z Działdowa" — „Melutka" — „Optymista Sir" — „Smutne Serduszko" — „Blondyn 25" — „Szatyn 22" — „Czarne oczko z Jarocina" — „Goryl z Tucholi" — „Amatorka poziomek" — „Podoficer" — „Haneczka" — „Błękitna Chmurka" — „Hanka" — „Inka" — „Janka" — „Mulatka T." — „Skromnisia" — „Robinson" — „Janek z pod Buku" — „Wesoły Łobuz" i „Samotny Leś."

REKOMENDUJĘ NOWĄ SYMPATYCZKĘ

„Smutny Chryzantem." Cieszy mnie to bardzo, że Pani nareszcie zdecydowała się do mnie napisać. Odtąd kontakt pomiędzy nami będzie stały, prawda?

Zgodnie z życzeniem, rekomenduję Panią armji „Siostrzyczek" i „Braciszków". A więc: „Smutny Chryzantem" to zgrabna szatynka o piwnych oczach, która szalenie lubi jazdę na rowerze i dużo marzyć.

Zapytuję, czy „Błękitny Rycerz" nie zechciałby do niej napisać?

ŻYWIĘ NADZIEJĘ

„Ren — On". List, który Pani nadesłała, dotychczas spoczywa w redakcji, czekając na adres osoby, której ma być przekazany. Skoro jednak adres nadejdzie wyślę list natychmiast.

Serdecznie pozdrawiam Panią i żywię nadzieję, że napisze Pani kiedyś do mnie dłuższy liścik.

MARZYCIEL

„Jot — Bor". Listy wysłałam. Najlepiej niech Pan załącza do każdego listu 25 gr znaczek na dalszą przesyłkę. Będzie to o wiele dogodniejsze, niż specjalne przesyłanie pieniędzy pocztą.

Wiersze, proszę, niech Pan skieruje do Teczki Wujka Janusza, który wyda o nich swoją opinję. Współpraca Pana z naszym tygodnikiem będzie bardzo mile widziana.

Apel Pana do Sympatyków „Krainy" podaję z miłą chęcią niżej:

„Która z pań, samotna o szlachetnem sercu marzycielka zechce korespondować z początkującym literatem, marzycielem, który czuje się ogromnie osamotniony i smutny, gdyż nigdy nie zaznał ciepła ogniska domowego, a od najmłodszych lat szedł sam przez życie, tak ciężkie w obecnych czasach dla marzyciela — idealisty.

Czekam więc na Twój list nieznana marzycielko"!

WYSTARCZY

„Maleńka Tajemnica." Rozumiem dobrze, że trudno czasem w nawale pracy zdobyć choć małą chwilkę na załatwienie osobistych spraw, dlatego nie żywię żalu do Pani za tak długie milczenie. Wystarczy, że Pani napisała, że nie zapomniała o mnie.

Chciałabym wynaleźć dla Pani jakieś lekarstwo na pustkę i samotność, jednakże czuję, że to będzie trudno... Tam gdzie wchodzi w grę „ideał" trudno cokolwiek przedsięwziąć. Jedynie dobroczynny lekarz czas może tu coś poradzić, mnie zaś pozostanie tylko zachęcić Panią do wytrwałości i oddania się umiłowanej pracy. Ściskam i całuję!

BĄDŹ DZIELNĄ!

„Cyganka z gondoli złudy". Najdroższa! widzę, że życie dokuczyło Ci bardzo, skoro tyle żalu i smutku wlało do Twego serca. Wierzę, że to ciężko borykać się z nim, bardzo ciężko! Czytając Twoje słowa, Biedna Dziewczynko, zapragnęłam gorąco Cię podnieść na duchu. Nie wiem, czy słyszałaś już kiedy tę prześliczną zwrotkę z wierszy Cowpera:

Tylko samotną cierpień i troki ścieżyną
Dojdziemy do krainy, gdzie cierpienia giną.

Niewątpliwie, że tak jest. Pomyśl więc, że ten Twój los, który tak cię boli, skończy się kiedyś, dalej nie zapominaj, że doświadczenia, to rękojmia do uniknięcia w życiu wielu zawodów i złych pociągnięć, wkońcu pamiętaj, że nietylko Ty jedna cierpisz, na świecie tyle nieszczęść i trosk, że trudno sobie wyobrazić. Staraj się więc w miarę możności tłumić łzy, bądź dzielną i nie poddawaj się rozpaczy, zaś w chwilach zwątpienia pisz szczerze do mnie, jak do przyjaciółki. Czy dobrze? Czy zrobisz tak, jak proszę?

Następnie, ponieważ chciałabym Ci pomóc nietylko moralnie, maleńkie zapytanie: czy nie zechciałabyś pracować poza domem? Jeżeli tak, radzę Ci zdecydować się na podanie drobnego ogłoszenia, albo w „Moich Powieściach", albo w „Mojej Przyjaciółce". Skutek napewno jakiś będzie. Cena ogłoszenia dla poszukujących pracy, wynosi 50 gr. Należność można przesłać w znaczkach. Czekam więc na Twoje postanowienie.

ŻYCZENIA SPEŁNIAM

„Melonta vulgaris". Obawia się Pan, że nie przyjmę życzeń? Tymczasem nietylko przyjmuję, ale je spełniam jak najchętniej.

I tak w pierwszym rzędzie zapytuję w imieniu Pana „Szarotkę z Bydgoszczy" i „Młodziutką Ślązaczkę" czy nie zechciałyby skreślić do Pana kilku słów i apeluję do wszystkich miłośniczek i miłośników „czarnej sztuki" (fotografji) celem nawiązania z Panem korespondencji i ewentualnej wymiany zdjęć.

Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szczerej życzliwości.

WARTO NAWIĄZAĆ KORESPONDENCJĘ

„Tabu" przesyła mi bardzo miły liścik. Przeczytajmy go wszyscy:

„Kochana p. Zosienko!

Już tylu — tylu sympatyków przesunęło się przez „Krainę" — tyle odrębnych typów przemawiało zeń, a ja czekałam — czekałam, aby na „szarym końcu" dostać się na łamy „Krainy" i przesłać choć kilka słów z „nieznanego" dla mych siostrzyczek i braciszków.

I dziś witam was wszystkich samotnych, opuszczonych i pokrzywdzonych przez los. Witam i tych, co kroczą przez życie z uśmiechem na ustach, choć z przeszkodami walczyć muszą na każdym kroku.

Zapytacie może „kto ona?" Ot — wasza siostrunia z „Krainy" — kobieta jakich wiele — takie sobie przeciętne stworzonko, choć wysokie — smukłe o kasztanowych włosach i zielonych oczach. Do tego dodać muszę skończonych 26 latek życia (nie wiele — prawda?) i bardzo wrażliwe usposobienie z sporą dozą wyrozumiałości.

A zatem przyjacielu nieznany! Jeżeli szukasz zrozumienia — jeśliś stracił wiarę w ludzi — napisz a nie zawiedziesz się. Napisz również jeśli nie masz z kim dzielić humoru i wrażeń — napisz do nieznanej „Tabu", która kończy już swój list, przesyłając milutkie pa! całej „rodzinie" i osobne pozdrowienia dla „Białej Orchidei" i „Żądła". *„Tabu".*

MIŁOŚNICY SPORTU KOLARSKIEGO

„Szosowiec" i „Maratończyk" to dwaj Pomorzanie, którym zależy na miłej korespondencji z Sympatyczkami „Krainy". Chyba nie będą potrzebowali zbyt długo czekać na liściki?

Piszą Panowie w liście, że szalenie lubią jeździć rowerem, a nawet urządzają liczne wycieczki we wszystkich kierunkach Polski? Może więc zjawią się Panowie kiedyś w Żninie? Wizyta w redakcji bardzo nas ucieszy.

Wierszyk p. „Szosowca" nie posiada wprawdzie żadnych walorów literackich, ale ponieważ nie rości sobie Pan do tego pretensji, lecz tworzył go Pan z myślą o umiłowanym sporcie, więc umieszczam go dzisiaj w „Krainie", chcąc sprawić zadowolenie.

Kończąc odpowiedź, przesyłam Panom serdeczne pozdrowienia i życzę jak najwięcej przyjemności na wycieczkach rowerami.

NA ROWERZE...

Będę jeździł na rowerze,
Na rowerze szosę zmierzę,
Siły swoje dam w ofierze
Dla kolarskich Wielkich Dni.

Choćby deszcz strumieniem lał,
Choćby słońce mnie prażyło,
Zawsze rower będzie ze mną
W jasny dzień, czy w noc też ciemną
— On zastąpi piękne sny...

„Szosowiec".

UŚMIECHNIJ SIĘ

„Smutna Mirjam." Składam Ci, moja wierna i stara Przyjaciółeczko, jak najgłębsze współczucie z powodu straty ś. p. Stryjka. Nie martw się jednak tem i zbytnio nie przejmuj, bo tak, jak słusznie zauważyłaś, Bóg nie zapomni o Tobie nigdy. Ufaj Mu więc i wierz, że Cię nie opuści.

Bardzo jestem zadowolona, że korespondencja z „Siostrzyczkami" sprawia Ci tyle zadowolenia i radości. Pragnęłabyś jednak korespondować i z Panami. Apeluję więc do wszystkich Sympatyków „Krainy", aby nawiązali korespondencję z Tobą i w pogodnych słowach nieśli Ci radość, której brak tak odczuwasz w swem życiu. Do dzieła więc Panowie, niech smutne serduszko rozjaśni się trochę!

Na resztę Twoich pytań będzie odpowiedź w „Mojej Przyjaciółce". Przesyłam Ci dużo, dużo pozdrowień i wyrazów głębokiej sympatji. „Uśmiechnij się!"

WSPOMNIENIE

Łąka. Zieloność jej cudnie słońce wyzłaca
I wietrzyk pieściwie wysmukłe trawy trąca —
Wspomnienie odległe, a jednak żywe, wraca,
A z niem marzeń słodkich fala dziwnie gorąca...

Tak samo, jak dzisiaj, niebo było błękitne
I łąka też miała tę szmaragdową barwę —
Szczęście stąpało tuż... tuż... zwiewne, nieuchwyt-
Życie zdawało się nam największym być (ne,
(skarbem...
Powietrze tak pełne przesłodkiej było ciszy,
I taka złocistość wokoło jasna słońca —
Zdawało mi się, że głos serca Twego słyszę,
Myśli twe zdradzała głębia oczu gorąca...

Danuta Wyrybkowska.

DZIĘKUJĘ!

„Lilla Weneda". Za słowa pełne serdeczności i uznania dla mej pracy — dziękuję najmocniej. Niech mi Pani wierzy, że praca ta nie jest dla mnie trudem, lecz wielką satysfakcją; już sama myśl, że mogę komuś uczynić dobrze napełnia mnie takiem zadowoleniem i zapałem do pracy, że wszelka myśl o trudach i mozołach znika. Tak, jak już tyle razy wspomniałam, nie wyobrażam sobie już teraz życia bez mego obecnego zajęcia, czuję, że byłoby ono nazbyt puste i posiadałoby zamało treści.

Jeżeli będzie Pani miała kiedyś znowu chwilę czasu, proszę o mnie pomyśleć i skreślić kilka słów, zgoda? Łączę serdeczne pozdrowienia.

RADOSNY GOŚĆ

„Łobuzerska Kozaczka." Wesołość i radość to najmilsze przymioty młodości. Jeżeli je posiadasz, zważaj, Drogie Dziecko, aby Ci ich życie nie zwarzyło. Ochraniaj je i szanuj, bo raz stracona radość nie bywa już nigdy potem ani tak szczerą, ani tak beztroską, jak była w szczęśliwych czasach.

Pragnęłabyś korespondować z „Podchorążakiem" albo „Novarem"? Myślę, że powyżsi Panowie nie będą długo zwlekali, lecz skreślą kilka słów do tak wesołej panienki, jaką Ty właśnie jesteś. Radość przecież każdy lubi i chętnie z nią obcuje.

Pozdrowienia, załączone dla „Czarnego Olka," — „Ogrodnika" i „Zdzieża" — przekazuję, jak najchętniej.

CIESZĘ SIĘ

„R. Milusia." Kochanie! o żadnym zawodzie nie może być mowy, tylko odrazu dać wszystkim odpowiedzi w „Krainie" to rzecz niemożliwa. Trzeba zawsze, chcąc być przyjętą do naszego grona, uzbroić się w cierpliwość i odczekać pewien czas na odpowiedź.

Do „Krainy" przyjmuję Cię z radością i cieszę się, że powiększysz swoją osóbką naszą ogromną „Rodzinę". Z chwilą przyjęcia do naszego grona, przybędzie Ci jedno zajęcie więcej, mianowicie korespondencja.

Zapewnie któraś z „siostrzyczek" albo jakiś „braciszek" odezwie się wkrótce do Ciebie, a narazie możesz pisać do mnie. Czy zgoda, moja mała Przyjacióteczko? I czy jesteś zadowolona z odpowiedzi?

Za ładny i ciekawy opis miejscowości, w której zamieszkujesz, dziękuję Ci osobno i łączę serdeczne pozdrowienia.

DWIE ŁODZIANKI PRAGNĄ KORESPONDOWAĆ

„Czarna Laman" i *„Ognista Doris"* pytają: „Czy znajdzie się ktoś, co będzie potrafił rozweselić swemi liścikami dwie smutne Łodzianki?"

Jestem pewna, że tak. W naszem, licznem gronie jest dużo wesołych Pań i Panów, którzy nie pozostaną obojętni na słowa smutnych serduszek, lecz przeciwnie, nawiążą korespondencję z „Łodziankami" i w ten sposób wniosą w ich życie dużo radości.

KIEDY?

„Stella Maris." „Zła i niedobra?" — skądże! Życzenia przesłane później, tak samo były mi drogie i miłe, jak przesłane na czas. Niepotrzebnie więc robiłaś sobie wyrzuty i skrupuły, że nie wypełniłaś w porę utartego, chociaż szalenie miłego konwenansu. Pocztówka mimowoli została wysłana z opóźnieniem, ale sądzę, że sprawa korespondencji nic na tem nie ucierpiała i obecnie korespondujesz w najlepsze z nieznajomym?

Kiedy otrzymam znowu różowy liścik, wypełniony jak zwykle koronkowem pismem, po którem już na odległość poznaję każdy Twój „la lettre"?

Tysiączne pozdrowienia od „Wróżki Słońca!"

OTRZYMAŁAM ZBYT PÓŹNO

„Nieznany." Ponieważ zbyt późno otrzymałam do własnych rąk adres Pana, nie wysłałam dotychczas listów. Proszę więc jeszcze raz o bezpośredni, dokładny adres, na który natychmiast listy przekażę.

Za pozdrowienia dziękuję serdecznie w imieniu Wujka Janusza i swojem.

NA KAŻDY LIST ODPOWIEDŹ

„Śpiewający Słowik." Żałuję, że zmieniła Pani swój poprzedni pseudonim, który podobał mi się bardzo, gdyż przypominał mi żywo pewną drogą mi i kochaną osobę.

A teraz zamieszczam wyjątki z liściku Pani: „Jestem bardzo wesoła, przepadam za żartami i uśmiechniętemi buziami. Posiadam niebieskie oczy, blond włosy i ciemne rzęsy. Zachwycam się śpiewem, lubię taniec, muzykę i wszystko co ładne i dobre.

Kto z Pań lub Panów chciałby do mnie napisać? Przyrzekam na każdy list dać odpowiedź."

KONTAKT BĘDZIE NIEPRZERWANY

„Let". Dziękuję Panu z głębi serca za wzruszające życzenia i za to wielkie przywiązanie do „Moich Powieści". Tygodnik nasz będzie Pana nadal odwiedzał co sobotę, więc kontakt pomiędzy nami będzie istniał nieprzerwanie. Zatem żegnam Pana i czekam na nowe wiadomości.

W NASTĘPNYM LIŚCIE

„Córa Północy". Pisze mi Pani, że przybyła z Ameryki do Polski, lecz nie donosi dlaczego. W następnym liście wyjaśni mi więc zapewnie Pani przyczynę, prawda, temwięcej, gdy się dowie, że ogromnie się Panią zainteresowałam.

A teraz zwracam się z polecenia Pani do „Kruczowłosego Królewicza", by zechciał skreślić kilka słów do „Córy Północy", oraz przekazuję załączone przez Panią pozdrowienia dla „Śpiewającego Błazna" i „Szatyna 22".

Na zakończenie dziękuję najmocniej za tyle przesłanych mi pocałunków, które spłacam serdecznemi pozdrowieniami i uściskami.

Teczka Wujka Janusza

DZIĘKUJĘ!

„Łobuziaki K. i H." Drogie Panie, najmocniej dziękuję za życzenia, chociaż przysłane nie w porę, gdyż w czerwcu nie obchodzę imienin.

Przesłane wierszyki — oprócz „Czemu?" są bardzo słabe. Słusznie Panie zauważyły, że chcąc pisać wierszyki trzeba mieć talent.

Milutkie pozdrowienia załączone dla „Pacola" i „Nicponia" — przesyłam, oraz zamieszczam parę słów jednej z Pań dotyczące „Tęsknoty z Działdowa":

„Kochana „Tęsknoto z Działdowa"! Jeśli jesteś moją koleżanką, to przypomnij sobie Pierwszą córę Malinowa"...

CZEMU?

Czemu mnie dręczą
I serce tak męczą
Dziewczęce marzenia
I ciche westchnienia?
Czemu serce bije
Dla kogoś, co żyje
Odemnie daleko —
Tak bardzo daleko?
I nie wiem dlaczego
Jest miło i błogo
Wspominać, choć skrycie
I kochać — nad życie?

„Halszka".

WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU

„Żądło". Cieszę się zawsze, ile razy odbieram od mojej, starej Przyjaciółki list. Zawsze w nim znajduję coś, co daje mi później temat do rozważań i rozmyślań. Zapatruje się Pani na życie poważnie i głęboko, obserwuje jego przejawy i zastanawia się nad niemi, bądź to w wierszach, bądź też w swoich listach, pisanych do mnie lub p. Zofji. Chciałbym kiedyś pomówić z Panią osobiście, myślę, że wspólna dyskusja sprawiłaby nam dużo zadowolenia. Narazie jednak pozostaje nam korespondencja. W niej też będziemy poruszali nadal różnego rodzaju zagadnienia i aktualne tematy.

Wierszyki pójdą do druku. Przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia dla „Nieznanego" i kończę odpowiedź pozdrowieniami oraz wyrazami szacunku i poważania.

DAWNIEJ A DZIŚ!

Dotąd nie znałam, co troski — kłopoty!
Dotąd też wiodłam żywot spokojny!
Do pracy — zabawy, nie brakło ochoty,
Dzień za dniem schodził wesoły, — choć znojny.
A kiedym życie dzisiejsze poznała,
Dziwny „niepokój" ogarnął mą duszę
Dzisiaj „szczerości" jeszczem nie spotkała,
Choć z bólem wielkim, powiedzieć to muszę.
Życie lat dawnych — snem mi się wydaje.
Dzisiaj! Niedola. Same łzy i jęki!
Jeden drugiemu — goryczy dodaje,
Jeden drugiemu — przysparza udręki!

„Żądło".

ŚPIEWAJ...

Śpiewaj, niech pieśń twa smutek ukołysze,
Niech zginie rozpacz, niech jęku nie słyszę,
Śpiewaj, w tych dźwiękach zduszę swoje żale,
Co szarpią duszą, jak wzburzone fale.
Śpiewaj, niech pieśń twa da mi wspomnień
(chwile,
Niech mnie kołyszą, jak barwne motyle,
Śpiewaj, swą pieśniąześlij upojenie
Na smutne życie, puste nieskończenie.
Śpiewaj, niech pieśń twa będzie pożegnaniem,
Przed tem bolesnem, ostatniem rostaniem,
Śpiewaj, niech głos twój będzie mi nektarem,
Na ranę mego serca spaloną łez żarem.
Śpiewaj odchodzę cicho w zapomnienie,
Jak sen prześniony lub złudne marzenie,
Śpiewaj, niech zdala słyszę głosu dźwięki,
Niech krają serce i zadają męki.
Śpiewaj, niech pieśń twa nie zamilknie w dali,
Niech wiecznie ją słyszę, jak dźwięk czystej
(stali,
Śpiewaj, niech pieśń ta stanie się udręką
Co przerwie nam życie przepojone męką.

„Stella Maris."

BRAWO!

„Stella Maris". Tym razem wierszyk dobry — oddaję go dzisiaj do druku. Trudy i mozoły opłaciły się, prawda? Może znowu Pani coś napisze i nadeśle do Teczki? Będę się bardzo cieszył!

Za długi i szczery liścik dziękuję Pani najmocniej. Wyobrażenia Pani o mnie są trafne — skądże takie psychologiczne zdolności u smutnej p. „Stelli"? Zakończenie listu Pani ogromnie mnie ujęło, żałowałem tylko, że to, co powinno być napisane prosto, zamknęła Pani w nawiasach. Szkoda! Poprawi się jednak Pani w następnym liście, prawda? I jeszcze jedno: jeżeli otrzymam, chociaż maleńkie zdjęcie od „Stelli Maris" będę bardzo zadowolony. Czekam więc!

MIŁE, LECZ...

„Maleńka Tajemnica." Wierszyki Pani są bardzo milutkie i czyta się je gładko; jedyny błąd to banalne określenia. Niech Pani się wystrzega, podczas tworzenia wierszy, częstego używania wyrazu „ja". Brzmi niemiło i trąci staroświecczyzną. Jeżeli usunie Pani te niedomagania, wszystko będzie w porządku. Czekam więc na nową przesyłkę.

Co słychać w polityce?

Najważniejszem wydarzeniem ubiegłego tygodnia, które zaważy niewątpliwie w dalszym rozwoju stosunków międzynarodowych, jest zawarty w Londynie *układ morski niemiecko-angielski*.

Niemcy osiągnęły w Londynie olbrzymi sukces. Jest to pierwszy, bezpośredni skutek wielkiej pokojowej mowy *kanclerza Hitlera*, wygłoszonej w dniu 21 maja i skierowanej głównie pod adresem Anglji. Cała mowa Hitlera kulminowała w ofertach pod adresem Anglji. Dyplomacji niemieckiej udało się nielada posunięcie, skłonienia Anglji do bezpośrednich rozmów z Niemcami, rozbicia temsamem frontu wspólnego mocarstw zachodnich.

Drugi sukces leży w dziedzinie prawnej. Niemcy decyzją z marca b. r. wzięły sobie prawo nieograniczonego zbrojenia się na lądzie, za co spotkały się ze zgodnem potępieniem wszystkich mocarstw. Prawo zbrojeń na morzu zabronionych im również przez Traktat Wersalski, uzyskały Niemcy od Anglji, gwarantki tegoż traktatu.

Sukces osiągnięty przez Niemcy musiał *zaniepokoić Francję*, której siły morskie, rozdzielone między metropolję i kolonje są niewiele większe od parytetu przyznanego Niemcom, którzy jak wiadomo na mocy porozumienia angielsko-niemieckiego posiadać mogą 35 proc tonażu floty angielskiej w poszczególnych kategorjach sił morskich, a jeśli chodzi o łodzie podwodne, — nawet 45 proc.

W większym jeszcze stopniu sprawa ta interesuje *Polskę*, dla której przewaga sił niemieckich na Bałtyku, oznacza poważne niebezpieczeństwo. Ku sprawom morskim będziemy musieli w przyszłości najbliższej kierować czujny wzrok.

*

Angielsko-niemiecki układ morski wywołał szerokie echo w całej Europie, która w układzie londyńskim widzi przyznanie Niemcom prawa do zbrojeń morskich i co zatem idzie rozpoczęcie powszechnego wyścigu zbrojeń. W ogólnym nastroju zakłopotania, dochodzi do skutku wizyta ministra dla spraw Ligi Narodów Edena w Paryżu, aby mówić o rokowaniach, tym razem już z Francją i Włochami w sprawie rozbrojenia lotniczego, o pakcie naddunajskim i *możliwości rozszerzenia* umowy morskiej zawartej w Londynie na-inne państwa. Czy koncepcja ta się uda? Zobaczymy w niedługim czasie.

Jedno na marginesie tej umowy należy stwierdzić, że nieskoordynowanie posunięcia na terenie międzynarodowym, nie oparte o zasadę ścisłego współdziałania wszystkich państw zainteresowanych w utrzymywaniu pokoju, nie przyczynia się do umocnienia ale przeciwnie, do osłabienia pokoju. Dziś już nie układy, ale forsowne zbrojenia mogą odwlec chwilę wybuchu nowej wojny.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 30. VI. do 6. VII. 1935 r.

Niedziela, dnia 30 czerwca 1935 r.

8.30 Audycja poranna 10.30 Transmisja Nabożeństwa z Rogalinka 12.05 „Wieś wielkopolska tańczy" 12.20 Poranek muzyczny. W przerwie poranku o godz. 13.00 fragment słuchowiskowy „Z chłopa król" 14.00 Muzyka salonowa 15.00 Pogadanka rolnicza 15.10 Muzyka 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych" 15.35 Pieśni polskie (płyty) 15.45 „Po powrocie ze szkoły rolniczej" 16.00 Koncert solistów 16.45 „Pierwszy polski literat marynista" 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Transmisja z obozu Wojskowego Przysposobienia Radjotechnicznego w Ryni n/Narwią 18.15 Billy Mayerl wykonawca własnej kompozycji 18.30 „Cała Polska śpiewa" 18.45 „Dawne i nowoczesne dyliżanse" 19.20 Trio Rymowicza 19.50 Feljeton p. t. „Trampy polskie" 20.00 „Józef Piłsudski jako twórca siły wojskowej" — wygł. Dr. Wacław Lipiński 20.10 Koncert Orkiestry Symf. P. R. 20.45 „Myśli Józefa Piłsudskiego" 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 Recital Mieczysława Saleckiego (tenor) 21.30 „Chata Żeromskiego" — tr. przy mikrofonie Witold Hulewicz 21.45 Muzyka płyty 22.00 Wiadomości sportowe 22.20 „Marynarka gra" 23.05 Muzyka.

Poniedziałek, dnia 1 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert 15.30 Melodje z filmów dźwiękowych 15.40 „Jak oszukano mnie na jarmarku przy kupnie konia". II transm. z cyklu „Na fali bezpieczeństwa publicznego" 16.00 „W co się będziemy bawili?" 16.15 Koncert w wykonaniu Berty Bragińskiej i Romany Liljan, Antoniego Szafranka (skrzypce) 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 Koncert 17.40 M. Glinka: Trio d-moll na klarnet, fagot i fortepian 18.00 Pogadanka Brunona Winawera 18.15 „Cała polska śpiewa" 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Baletowa suita 19.30 Audycja żołnierska 19.50 „Co czytać" 20.00 „Skrzynka rolnicza" 20.10 „Wiedeń zawsze ten sam" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała Orkiestra P. R.

Wtorek, dnia 2 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Zespół Stefana Rachonia 13.30 Z rynku pracy 15.30 Koncert solistów 16.00 „Skrzynka P. K. O." 16.15 Fr. Schubert: Kwartet G-dur Nr. 15 op. 161 w wykonaniu Kwartetu Kolischa (płyty) 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Odczyt z cyklu astronomicznego 18.10 „Minuta poezji" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Skrzynka techniczna" 18.45 Luigini: Balet rosyjski 19.30 Recital skrzypcowy Stelli Dortheimer 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 „Mały Mozart" — Audycja muzyczno-słowna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 „Główna wygrana," — Operetka w 1-ym akcie W. Hausmana 22.00 Koncert symfoniczny (płyty) 22.30 Wiadomości sportowe 22.40 Mała Orkiestra P. R.

Środa, dnia 3 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 13.05 Chwilka dla kobiet 13.30 Koncert 15.30 Muzyka salonowa 16.50 „O domowem wyrobie wina" 16.15 Koncert solistów 16.15 „Wędrówka Joanny" 17.00 „Djalo i wśród balu i tańca" 17.45 Muzyka salonowa 18.00 „Typologja klijenta" — Wesoły skecz 18.15 Cała Polska śpiewa" 18.30 p. t. „Duszek". Opowiadanie dla dzieci 18.45 Jazzowe figielki 19.30 „Zespół piosenkarek „Irmay" 19.50 „Świat się śmieje" 20.00 „Poznajmy przepisy finansowe rolne" 20.10 „Z oper Bellini'ego 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życie dawnej i współczesnej Polski 21.00 Koncert Chopinowski w wyk. Bolesław Woytowicza 21.30 „Józef Piłsudski, jako Komendant Pierwszej Brygady" 21.40 W stulecie urodzin Henryka Wieniawskiego 22. 5 Wiadomości sportowe 22.15 Koncert M. Ork. P. R. pod dyr. Zdz. Górzyńskiego.

Czwartek, dnia 4 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Koncert mandolinistów „Hejnał" 15.30 Muzyka taneczna 16.00 „Lipiec na niebie i ziemi" 16.15 Sekstet kameralny Niny Mańskiej 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 „Prace historyczne o Józefie Piłsudskim" 18.10 Minuta poezji: Wiersz Tadeusza Lopalewskiego 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 „Dokąd jechać w święto" 18.45 Melodje operetkowe (płyty) 19.30 II-ga Audycja z cyklu „Preludja Fugi J. S. Bacha" 19.50 Feljeton aktualny 20.00 „Nowiny leśne" — wygł. prof. Jan Kloska 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życie dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Kwadrans staropolski — stare piosenki w wyk. Teofila 21.15 Zapomniane walce 21.30 Teatr Wyobraźni nadaje słuchowisko p. t. „Czy pójdzie pan zemną na ryby?" p/g Jana Roeslera, z udziałem Karoliny Lubieńskiej 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Mała orkiestra PR.

Piątek, dnia 5 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 13.05 Koncert 13.30 „Z rynku pracy" 15.30 Koncert chóru „Esben" 16.00 „Słońce — źródło zdrowia i choroby — w lecie" 16.15 Koncert Orkiestry salonowej pod dyr. Tadeusza Serejyńskiego ze Lwowa 16.35 Pogawędka dla chorych 16.50 „Wędrówka Joanny" 17.00 Recital fortepianowy Rity Zausmer 17.20 Koncert orkiestry kameralnej z Wilna pod dyr. Czosnowskiej 18.00 Reportaż z spania Kopca na Sowińcu przeprowadzi Stefan Strzelecki 18.40 Chwilka społeczna 18.45 Muzyka salonowa 19.30 Miniatury kwartetowe 19.57 Wesoły monolog aktualny, pióra Marjana Hemara 20.00 „Skrzynka rolnicza" 20.10 „Dla grzecznych dzieci" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Koncert Symfoniczny 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 Muzyka taneczna 23.05 Muzyka taneczna.

Sobota, dnia 6 lipca 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.05 Dziennik południowy 12.15 Koncert z udziałem solistów (płyty) 13.00 Chwilka dla kobiet 13.05 Zespół salonowy 14.30 Koncert 15.25 „Nasz handel morski" 15.30 „Od kominiarczyka do zegarmistrza". Audycja dla dzieci 16.00 „Szkrynka techniczna 16.15 Muzyka (płyty) 16.30 „Uczmy się pływać" — tr. na wesoło z Krakowa 16.50 „Wędrówka Joanny" — E. Szelburg-Zarembiny 17.00 Koncert „Dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Poradnik sportowy 18.10 „Minuta poezji" 18.15 „Cała Polska śpiewa" 18.30 Przegląd wydawnictw 18.45 Fr. Liszt: „Mazepa" — poemat symfoniczny 19.30 „Nasze pieśni" 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Wiadomości rolnicze 20.10 „Z operetek Fr. Lehara" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski" 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą 21.30 „Na równinie" 22.00 Wiadomości sportowe 22.10 „Pierwsza wesoła Syrena" 22.30 Mała Orkiestra.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF ułoż. „Zeus"



W rzędy pionowe wpisać wyrazy o podanem niżej znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy da rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Pisarz polski, (wspak) 2) Ptak. 3) Roślina afrykańska. 4) Imię żeńskie. 5) Ptak. 6) Ubiór węgierski. 7) Rzeka w Europie. 8) Rodzaj kaktusa. 9) Gatunek drzewa (rośnie w Afryce). 10) Rzeka w Polsce. 11) Czarny w jęz. obc. 12) Ptak. 13) Małżonka w jęz. obc. 14) Komik, błazen. 15) Zwierzę egzotyczne. 16) gat. drzewa w Afryce. 17) Koń wyścigowy. 18) Imię męskie. 19) Dział. 20) Podstawa. 21) Zmora w jęz. staropolskim. 22) Bogini egipska. 23) Królowa tebańska. 24) Aptekarz w jęz. obc. 25) Bożek egipski. 26) Przysłówek. 27) rodzaj statku. 28) Przyjądek. 29) Bokser amerykański. 30) Sprinter amerykański. 31) Pierwiastek chemiczny. 32) Odpoczynek. 33) Gwałtowny, płacz. 34) Ptak pożerający gady.

SZARADA

Oczy *pięć* — wspak — *szóstej* są liczne jak cały,
lub jak lazur nieba w jasny dzień majowy,
trzy-dwa naturalna, wygląd piękny, zdrowy,
kto *ją cztery-jeden* — wpada w zachwyt niemały.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 5 lipca b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 24 „Moich Powieści": Konikówka: „Nie pogardzaj ubogimi, gdy jesteś bogaty, bo nie czynią nas wielkimi klejnoty i szaty." Zdania bez samogłosek: Jakaż radość powinna być w was żeście młodzi, że przed wami otworem stoi całe życie, że możecie je wykuć w jakiś kształt olbrzymi, przejasny, przepotężny, dumny, cudny, wielki, że w naszych dłoniach leży przyszłość świata, słabością waszą silna, lub siłą waszą bogata!

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: „Aleksiej", Ludwik Dulat — Zbąszyń, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Jadwiga Waścińska — Rogoźno, Marja Braun — Mołodeczno, Stanisław Zoran — Mołodeczno, Jan Ambrożewicz — Mołodeczno, Elwira Morawowicz — Mołodeczno, „Luis", Janusz Przetakowski — Rososzyca, Irena Palińska — Borek, Juljan Bartosiewicz — Jastarnia, Wacława Bartosiewiczówna — Jastarnia, Leszek Konarski — Zaleszczyki, Ludomiła Kotabianka — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wacławie Bartosiewiczównie z Jastarni i Wacławowi Bultrowiczowi z Gniezna.

DOBRA GOSPODYNI

Kompot ze świeżych truskawek

Truskawki starannie oczyścić i wypłukać w czerwonem winie, co się robi w następujący sposób: nalać do filiżanki czerwonego wina, każdą truskawkę trzymać za szypułkę i opłukać w winie, następnie układać na szklanej salatarce, posypać suto cukrem i zalać czerwonem winem. Gdy tak postoją godzinę, podawać na stół. W ten sposób przyrządzone truskawki są wyborne w smaku.

Kompot z agrestu

Na kompot letni używa się agrestu na pół dojrzałego. Na pół kila agrestu zrobić syrop gęsty z pół kila cukru i małej szklanki wody, wrzucić agrest na wrzący, syrop, zagotować kilka razy, i wydać na kompotiere.

Raj kobiet

Dziwactwa mody



Na plażach Kalifornijskich zaczęto lansować modę niezwykłych kostjumów kąpielowych z futra.

Kobieta na plaży

W pojęciu lata łączy się dziś prawie nieodzownie wyraz — plaża. W miastach, nad rzekami i stawami, nad morzem, nad każdą niemal strugą, na piasku czy trawce — wszędzie jest jakaś plaża.

Kostjum kąpielowy i pijama stały się koniecznym składnikiem garderoby kobiecej, a wygrzewanie na słońcu i opalanie — synonimem dobrze spędzonych wakacji. Białe twarzyczki dawno już wyszły z mody. Ogorzałe, możliwie jak najdokładniej opalone ciało stało się ideałem zdobyczy letnich.

Pęd ten jest coraz silniejszy, pomimo ostrzeżeń lekarzy, a nawet specjalistów - kosmetyków przed zdradliwem nadużywaniem promieni słonecznych.

Kąpiel w wodzie i słońcu, a jeśli to komuś nie służy, — równie zdrowa kąpiel powietrzna w cieniu — tak orzeźwiająco działa na nasz organizm, tak dodatni wpływ wywiera na samopoczucie, że nie dziw, iż coraz więcej zyskuje zwolenniczek.

Na plażach dużych miast i miejscowości kąpielowych spotykamy kobiety wszelkiego wieku — od najmłodszych do najstarszych. W pobliżu małych miasteczek natomiast, nad pięknemi nieraz jeziorami i rzekami widzi się jedynie młodzież. Starszym kobietom, a nawet mężatkom „w kwiecie wieku" już to nie uchodzi. Jest to przesąd, z którym dawno zerwała zagranica, a który pokutuje u nas w wielu dziedzinach sportu. Siwa głowa w basenie kąpielowym, na rowerze, czy ślizgawce wywołuje sensację, gdy w innych krajach niczyjej nie zwraca uwagi.

Nagół jest to w znacznej mierze wynikiem słabszego dotychczas w Polsce ruchu sportowego wśród kobiet, obecny jednak rozwój w tym kierunku w dużej części hamowany jest przez zakorzenione jeszcze przesądy i obawę zerwania z niemi, a temsamem narażenia się na śmieszność. Czas by już i z mniejszych naszych środowisk obawy te wyplenić.

Plaża to nietylko jednak zdrowie, bo także letni salon rozrywkowy w nieco jedynie odmiennych toaletach salonowych, miejsce zawierania znajomości, zebrań towarzyskich, nawet dancingów w kostjumach kąpielowych — oczywiście zależnie od upodobań plażowiczów. Są i tacy bowiem, którzy dobrowolnie przyjemności tych się wyrzekają.

Pęd ku swobodnemu wykorzystaniu słońca, powietrza i wody króluje na plaży wszechwładnie. Przeważają ciała spalone na bronz tak dokładnie, że rodowitą Polkę można by z powodzeniem wziąć za mieszkankę wysp archipelagu malajskiego, jeśli nie za przedstawicielkę jakiegoś murzyńskiego szczepu.

Plaża taka czy inna stała się hasłem dzisiejszych wakacyj.

Dewe.

ŚWIAT I ŻYCIE

Z okazji „Święta Morza"

Jak Polska szła ku morzu?

Walka o Bałtyk w świetle dziejów

Od zamierzchłych wieków trwa już walka nasza o morze i władanie nad Pomorzem. Ale dopiero w okresie od Mieczysława I do Bolesława Krzywoustego zaznaczają się na terenie polityki morskiej pierwsze ważniejsze kroki Polski, które były raczej doraźnemi czynami orężnemi, bez ciągłości świadomej akcji politycznej.

Przez znany w historji fakt podziału Polski, przychodzi klęska, z której zrodziły się wszystkie późniejsze, a mianowicie opanowanie Gdańska i Pomorza gdańskiego w r. 1308 przez Krzyżaków. Dopiero po wojnie 13-to letniej i powstanie Pomorzan (drugi pokój Toruński w r. 1466) wróciły znów do Polski Prusy Królewskie z Gdańskiem, Elblągiem i Toruniem; niestety jednak pozostawiono Krzyżakom Prusy później Książęce z Królewcem.

Był to jeden z największych błędów w dziejach Polski. Gdyby wówczas Polska zdobyła się na krok stanowczy, opanowania wybrzeża pruskiego i przesiedlenia Krzyżaków na Podole, jak to zamierzano — dzieje nasze byłyby się potoczyły innemi drogami. Stało się jednak inaczej. Pozwolono zdradzieckiemu Zakonowi i jego spadkobiercom usadowić się nad Bałtykiem, Gdańskowi zaś pozostawiono obszerne swobody, dzięki którym Gdańsk monopolizował nasz handel zamorski i uzyskał większe wpływy na Bałtyku niż Polska.

Nie brakło wprawdzie energicznych prób, by ten stan rzeczy odmienić. Zygmunt August stwarza pierwszą flotę wojenną, która dała się we znaki wrogom Polski na Bałtyku. Po raz drugi pojawia się polska bandera na tem morzu za Zygmunta III, ale dopiero Władysław IV był tym jedynym królem polskim, który naprawdę celowo i energicznie zajął się umocnieniem panowania Polski nad Bałtykiem, budując kilkanaście jednostek bojowych i zamki nadmorskie na wybrzeżu dla osłony działań floty.

Później przez blisko trzy wieki nie było bandery polskiej na morzu, aż dopiero teraz niepodległa Polska wznowiła swą tradycję na Bałtyku.

Ze świata

Fabryka nowych słów.

(Przewrót w języku tureckim).

Wszechmocny dyktator „Młodej Turcji" Keemal Pasza, uważa, że język turecki jest zamało nowoczesny i że nie posiada wyrazów na cały szereg nowych pojęć.

Na jego więc rozkaz specjalna komisja zajęła się unowocześnieniem języka przez przekształcenie starych wyrazów i wprowadzenie nowych. Komisja ta już trzy lata pracuje w Angorze nad stworzeniem słownika języka tureckiego oraz gramatyki, dotychczas jednak doprowadziła swe prace nad słownikiem zaledwie do połowy liter, podczas gdy gramatyka, ku wielkiemu zmartwieniu młodzieży szkolnej, jest już gotowa.

Pozostaje jeszcze bardzo obfity dział wyrazów, zaczerpniętych ze słownika naukowego, które również dopiero trzeba wynaleźć.

Wprawdzie komisja stara się przy tej pracy oprzeć na pierwiastkach rodzimych, niezmienia to jednak postaci rzeczy, że po ułożeniu i wprowadzeniu w życie nowego słownika, starsi Turcy będą się musieli dopiero uczyć swego własnego języka. Nie jest to wcale przesadą, jeżeli się zważy, że w ramach samej litery A komisja wynalazła 10 tysięcy nowych słów. Niektóre z nich są tak skomplikowane i mają tak obce brzmienie, że zdaniem wielu, nigdy się one nie przyjmą w języku potocznym.

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

42)

Ale dosyć tego, co do pańskiej osoby samej, — ciągnął dalej Lister, — powiedz mi pan, panie hrabio, co pana właściwie do mnie sprowadza!"

„Mój panie!" rzekł Kazimierz, zdobywając się na jak największy spokój, — „zanim ożeniłem się —"

„Kochałem inną!" przerwał mu Lister, „to by nie było nic nadzwyczajnego. Pytanie tylko: kocha pan tę inną jeszcze, czy też ją pan nienawidzi? Chcesz się pan może uwolnić od niej?"

„Bystrość pańskiego umysłu wprawia mnie w podziw!"

„Naprawdę?" — rzekł z lekkim odcieniem ironji w głosie Lister. „Idźmy dalej: Ta dziewczyna, którą pan dawniej kochałeś —"

„Była aniołem!" zawołał Kazimierz.

„Mniejsza z tem, — chcesz ją nanowo posiąść?"

„Nie, nie!" przerwał z niechęcią Kazimierz. „Wiesz pan przecież, żem żonaty! Czy sądzi pan, że potrafiłbym być tak niesumiennym, aby dwa dni po ślubie oszukiwać żonę? To by było niecnem, niegodziwem!"

„Paryż ma swoję odrębną, zdaje się, moralność. Tu niemal każdy żonaty kocha się na dwie strony", rzekł z flegmą ajent.

„W takim razie jestem dumnym z tego, że jestem Polakiem," zawołał Kazimierz.

„A pan myśli, że tam u was inaczej? No, nie chcę panu odbierać iluzji! — A więc ta dziewczyna, którą pan kochał —"

„I którą zawsze jeszcze kocham", poprawił Kazimierz, „jest w Paryżu, bo widziałem ją w tej chwili, kiedy po ślubie wychodziłem z małżonką z kościoła Notredame."

„Chciała panu scenę zrobić, nieprawdaż?"

„Ani myśli! — Powiadam panu, to anioł. Ukazała się na chwilę, — z zapłakanemi oczyma, taka blada, taka zmieniona, z taką boleścią w twarzy, — i napowrót mi zniknęła! Odtąd nie mogę jej zapomnieć! Ja muszę ją odnaleźć! Jestem przekonany, że jest jeszcze w Paryżu, — przyszedłem więc do pana z prośbą, by mi pan dopomógł do odnalezienia jej. Ja nie mogę pozostawić jej w nędzy. Gdy jej już posiadać nie mogę, niechże przynajmniej zaopatrzę ją, — niech się o nią troszczyć mogę. Ach, ja radbym słać róże po dalszej drodze jej życia, — ja pragnąłbym — —"

„Jednem słowem", przerwał Lister, — „chce ją pan przed biedą ochronić? Nie zastanowił się pan jednak, panie hrabio, że ta nieszczęśliwa dziewczyna, której pan bezwątpienia pewne obietnice poczynił —"

„Więcej jeszcze, — przysiągłem jej, że się z nią ożenię!"

„I?"

„I przysięgę tę złamałem! Musiałem niestety! Mój ojciec na śmiertelnem łożu zmusił mnie do tego!"

„Dobrze więc, nie mówmy więcej o tej fatalnej przysiędze! — Ale nie weźmiemy jeszcze w rachubę tej ewentualności, że dziewczyna ta, przez pana oszukana, — bo ostatecznie tak jest, nazwijmy rzecz po imieniu, — mogła odebrać sobie tymczasem życie!"

„Na Boga, ta myśl straszna prześladuje mnie właśnie i nie daje ani chwilki spokoju. Oka zmrużyć w nocy nie mogę. We śnie i na jawie ściga mię jak straszydło!"

„Zaraz będziemy mieli pewność", odparł ajent, „jak jej na imię?"

„Anielcia Dubois!"

„A jak wygląda?"

„Jak anioł!"

„Anioł? — To nie żaden opis. — Proszę mówić do rzeczy! Jakże wygląda?"

„Śliczny ma wzrost, cudowna postać, smukła, o szlachetnych kształtach, wdzięków jej opisać niepodobna, usta koralowe —"

„Dosyć już, — szczególniejsze znaki?"

„Takich nie ma wcale!"

„Dobrze, spróbuję, czy to mi wystarczy!" — rzekł ajent i wyciągnął grubą książkę z szafy.

Obracał kartki, szukając czegoś. Trwało to z pięć minut, które dla Kazimierza wydały się wiecznością, następnie rzekł:

„Do morgi (gdzie trupy nieznanego pochodzenia wystawiają) dziewczyny takiej nie dostawiono! W moim spisie niema ani jednej kobiety, któraby odpowiadała pańskiemu opisowi! Tam więc niema jej!"

„Bogu niechaj będą dzięki niewymowne, spada mi kamień z serca, mister Lister!"

„Niech się pan za wcześnie nie cieszy!" rzekł ajent. „W Paryżu ginie mnóstwo ludzi, których zwłok nikt nie odnajduje! Na tem jeszcze nie dosyć, że jej w morgue niema! Szukajmy dalej."

Wziął słuchawkę od telefonu, który się tuż przy biurku znajdował, i kazał się połączyć z prefekturą policji. Z tych kilku słów, które wypowiedział, nie mógł się Kazimierz niczego dorozumieć. Ale nagle odłożył ajent słuchawkę, zwrócił się z poważną miną do Kazimierza i rzekł:

„Gdyby tak pan, panie hrabio, chciał był uwolnić się od tej dziewczyny, mógłbym z wesołą miną powiedzieć panu to, o czem się właśnie dowiedziałem! Gdy się jednak ma rzecz przeciwnie, proszę pana, panie hrabio, będzie bolesna!"

„Boże Wielki!" zawołał, zrywając się z krzesła, Kazimierz, „co ja usłyszę! Powiedz mi pan, zaklinam pana, powiedz mi pan wszystko! Nie patrz pan tak na mnie! Wzrok pański mię przeraża!"

„Nasze domysły sprawdzają się niestety", rzekł ajent, „na każdy sposób, zdaje się, że dziewczyna, o której mowa w raporcie policyjnym jest tą samą, którą pan hrabia przed kościołem Notredame widziałeś. A nie miała przypadkiem małego kapelusza z welonem, — nie przypomina pan sobie?"

„Tak, tak!" przerażony rzekł Kazimierz, „mały kapelusik z ciemno-niebieskim welonem, — a ten welon —"

„Był naderwany!" przerwał ajent, „kawałek brakował, nieprawdaż?"

„I to już pan wie!"

„No, nie wielka sztuka to wiedzieć: Kapelusz i welon znaleziono, i to, — bądź pan mężnym, panie hrabio, — na falach Sekwany."

Kazimierz zachwiał się, usunął się na krzesło, — od łez nie mógł się powstrzymać.

„Mój Boże, jaki ja nieszczęśliwy! — Co za cios to dla mnie, — ja go nie zniosę! Kapelusz i welon na falach Sekwany, powiada pan! O, w takim razie —"

„W takim razie niema wątpliwości, że nieszczęśliwa do Sekwany się rzuciła", rzekł Lister bezdźwięcznym głosem, „prawdopodobieństwo bardzo wielkie. Wieczorem, w dniu pańskiego wesela, zdany został raport w biurze policyjnem, że dziewczyna jakaś, wedle opisu pańskiego ta sama, — rzuciła się z pont des Arts do Sekwany."

„O Anielciu, moja biedna, ukochana Anielciu!" zaszlochał Kazimierz. „Ale nie, — to nie może być, — to niepodobna, — ja w to wierzyć nie mogę, — ona żyje, żyć musi! Czyż ta dziewczyna, którą stójkowy rzucającą się z mostu widział, nie może być inną? To może być tylko podobieństwo łudzące! Że nieszczęśliwe istoty, nie mające drogi wyjścia przed sobą, często śmierci we falach rzeki szukają, zdarza się przecież bardzo często w Paryżu! A czy znaleziono jej zwłoki, — na brzeg wydobyto? O, gdzie są one, bym je raz jeszcze obaczył, raz jeszcze ucałował i — sam je do grobu złożył!"

„Zwłok nie znaleziono jeszcze!" odparł spiesznie ajent, „ale, że to ona, Aniela Dubois, nie ulega wątpliwości! Na to są dowody!"

„Dowody?" zawołał drżącym głosem Kazimierz, „jakiego rodzaju dowody?"

„Dowodem jest ostatnie jej słowo, które stójkowy zasłyszał, zanim się z mostu do wody rzuciła."

„Słyszał? Co słyszał, co zaraportował?"

„Stójkowy zaznaczył wyraźnie w swoim raporcie, że samobójczyni ostatnie słowa były: „Kazimierzu, mój Kazimierzu!"

Młody hrabia stracił zupełnie równowagę. Zaczął płakać, szlochać jak dziecko. — Lister z delikatności nie przerywał tego wybuchu żalu i rozpaczy.

Przystąpił do okna, odsunął kotarę tak, że światło dzienne szerokim strumieniem wpadło do pokoju; zdawał się patrzeć na ulicę.

„Mój panie!" ozwał się głos hrabiego, „ja tu do czynienia w takim razie nic więcej nie mam jak tylko pożegnać się z panem i podziękować za zainteresowanie się pańskie moją sprawą. Sprawa załatwiona. Ta, za którą miał pan poszukiwania robić na moją prośbę, nie żyje. Ludzkiej pomocy nie potrzebuje zatem więcej, bo znajduje się tam, gdzie jej nic złego ani dobrego spotkać już nie może!"

„Pan się myli, panie hrabio!" odpowiedział ajent. „Pan się myli, i to bar-

dzo. Że się do wody rzuciła nieszczęśliwa, to jest prawdą, — ale czyż tem samem powiedziano, że nie żyje?“

„Jakto, mój panie, — pan mi daje nadzieję?“

„Nie nadzieję, tylko daję panu pod rozwagę, — to jest na razie wszystko, co panu dać mogę. Mam zanadto wielkie doświadczenie w takich rzeczach, by zaraz całą nadzieję tracić, gdy chodzi o samobójstwa. Statystyka wykazuje, że przynajmniej trzecia część samobójstw usiłowanych, pozostaje tylko niedokonanem usiłowaniem, — że samobójcy, śmiało twierdzić można, cel swój rzadko osiągają. Czyż tak samo i pańska dziewczyna nie mogła się uratować?“

„Tak, ale mojem zdaniem“, odparł Kazimierz, „tylko w takim razie, jeżeli się w niej obudzi chęć do życia, jeżeli się sama chce ratować“.

„To przyjmuję za pewnik“, rzekł ajent, „ja sądzę, że u większej części samobójców w ostatniej chwili następuje reakcja. Strzeli kto do siebie, natenczas wola, jeżeli naturalnie jeszcze może, o lekarza Ci, co się topią, starają się wypłynąć. Najgorzej tym, co się wieszają, — tym daleko trudniej się wyratować. Na każdy sposób jedynem ich pragnieniem, by się kto z nożem zjawił i przeciął sznur“.

„To okropne! Co za męczarnie muszą ci nieszczęśliwi przebywać!“ zawołał Kazimierz. „Ale panie Lister, powiedz pan, sądzi pan naprawdę, że niewykluczonem jest, iż Anielcia żyje? W takim razie, — powiedz mi pan, poszę, co mam robić, by pewności nabrać?“

Ajent wzruszył ramionami.

„Musimy jej pilnie szukać, — robić dochodzenia, — to jest wszystko, co w tej chwili powiedzieć mogę, — a to nie jest tak trudno, jak sobie pan może przedstawia. Paryż jest wprawdzie wielki, ale proszę nie zapominać, że Sekwana tylko pewne części miejsca przecina. Działanie nasze polegać będzie na wybadywaniu i dopytywaniu się u tych, co nad brzegami rzeki mieszkają, czy fale nie przyniosły do brzegu ciała jakiego ludzkiego“.

„I zechce pan to wziąć na siebie?“

„Ależ i owszem, to mój zawód przecie!“

„Dobrze! Proszę więc pana bardzo, zaklinam, zajmij się pan na razie tylko moją sprawą, — przedewszystkiem niech pan sprawdzi, czy ona jeszcze żyje. Jakikolwiek byłby rezultat pańskich poszukiwań, ja pana po książęcemu wynagrodzę, — a jeżeli pan sobie życzy zaraz może większej sumy jako zaliczki —“

„Proszę mi panie hrabio nie ubliżać! Dewizą moją jest: najpierw praca, potem płaca!“

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Ajent otworzył drzwi, gospodyni jego podała mu kartę. Z obojętną miną spojrzał Lister na nią i rzekł:

„Niech zaczeka ta pani“.

Gospodyni odeszła. Kazimierz czuł się obowiązanym swoją wizytę skrócić.

„Żegnam więc pana“, rzekł, „odchodzę, chociaż z bólem w sercu, jednak nie bez nadziei. Jestem przekonany, że pan gorliwie zajmie się moją sprawą, gdyż jak słyszałem, przyjmuje pan mało



Słynny rysownik amerykański Walt Dianey, twórca popularnej „myszki“ filmowej podróżuje obecnie ze swą żoną po Europie.

zleceń, ale z tem większą gorliwością się im oddajesz“.

„Prawdę panu powiedziano, panie hrabio!“

„Oby starania pańskie, które pan poczyni, uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem!“

„Chwileczkę jeszcze, panie hrabio!“ rzekł nagle po chwilowem zamyśleniu się Lister. „Na wypadek, żebym Anielcię znalazł, prosiłbym o pismo, uwierzytelniające, któreby dziewczynę przekonało, że mi może zupełnie zaufać. Proszę o kilka słów serdecznych na piśmie, bo inaczej gotowa mi nie wierzyć.“

„Całkiem słusznie, jak też pan o wszystkiem pamięta, panie Lister. Pan pozwoli, że usiądę przy pańskiem biurku i tam nakreślę tych słów parę“.

„Ależ bardzo proszę o to“.

W kilka minut później wręczył Kazimierz detektywowi kartkę, na której drżącą ręką napisane były następujące słowa:

„Anielciu! Płaczę za Tobą, — nie mam spokoju! Jeżeli żyjesz jeszcze, zaufaj temu, który ci tę kartkę odda, — on cię zaprowadzi do mnie, — w moje ramiona. Jeszcze się da wszystko naprawić.

Twój Kazimierz.

„Czy panienka zna charakter pańskiego pisma?“

„Bardzo dobrze!“

„W takim razie pojedyńczy podpis „Kazimierz“ wystarczy. A teraz, panie hrabio, polecam się łaskawej pamięci i niech pan będzie przekonany, że niebawem wieści odemnie nadejdą. Ale, ale, pod jakim adresem mam panu moje listy przesyłać, bo przypuszczam, że pan te poszukiwania tajemnicą osłania i nie zechce, by ktoś niepowołany się o tem dowiedział“.

„Panie Lister, za to, co ja robię, zwykłem odpowiadać sam przed własnem sumieniem! Ale pan ma słuszność. Nie dobrzeby było, gdyby się moja żona dowiedziała, że ja się tą biedną, nieszczęśliwą dziewczyną tak zajmuję. Ale z drugiej strony nie mam tu żadnych przyjaciół w Paryżu, na ręce których mógłbym listy odbierać. A z poczty samemu odbierać, — połączone jest zawsze ze spóźnianiem się“.

„Całkiem słusznie! Najlepiej będzie, gdy przesyłać będę panu moje listy wprost i to w kopercie, na której wydrukowana jakaś znana firma. Takich listów kupieckich nie ogląda żadna kobieta, nawet gdyby miała tę nawyczkę, listy męża kontrolować“.

„W moim przypadku to zupełnie wykluczone“.

„Tem lepiej, panie hrabio! Wkrótce pan o mnie usłyszy“.

Ajent odprowadził hrabiego do drzwi. Tu wymienili obydwaj raz jeszcze ukłony, Lister zamknął drzwi za sobą, zasunął rygiel, podszedł do biurka, nacisnął lekko guzik, znajdujący się na pulcie tegoż.

W tej chwili otwarły się na prawej stronie, niedostrzegalne drzwi tapetowe.

„Proszę niech pani wejdzie“! rzekł Lister, idąc naprzeciw smukłej, zgrabnej postaci, której twarz gęstym welonem była zakryta. „Jak z karty się dowiaduję, mam zaszczyt mówić z panią hrabiną Sokolską!“

Kobieta podniosła welon, — oczom ajenta ukazały się cudowne rysy twarzy Loli.

Podsunął jej krzesło, na którem przed chwilą siedział Kazimierz, jej mąż i gorzko za Anielcią płakał.

„Pani hrabino“, rzekł Lister, zatapiając wzrok swój przenikliwy w przepięknej twarzy Loli, „sprawa, w której pani hrabina do mnie przychodzi, jest mi już znaną“.

„To niemożliwe!“

„Nie ma nic niemożliwego, pani hrabino, chyba, gdyby ktoś próbował oprzeć się piękności pani. Życzy pani dowiedziec się z ust moich, co panią do mnie sprowadza? Nienawiść do jednej osoby, której się pani boi, by mężowi pani serca nie zabrała“.

Twarz Loli sponsowiała, — omal że się nie zerwała, z trudnością tylko pohamowała się, przybierając pozory spokoju.

„Skąd pan to wiesz? Tak, prawda, — pan ma słuszność, — nienawidzę jednej osoby, — a że mi pan to tak otwarcie powiedział, nie chcę przeczyć temu“.

„A tą osobą“, — ciągnął dalej Lister, — „jest dziewczyna, — do tego bardzo piękna, lecz biedna, sierota“.

Loli głos zamarł w gardle, — nie mogła odwrócić od nich swego wzroku.

„Dziewczynie tej na imię Aniela“, ciągnął dalej ajent ze stanowczością w głosie, — „jest Polką, — a źródłem nienawiści pani do niej jest miłość, którą mąż pani dla niej żywi“.

„Pan jesteś czarodziej!“ wycedziła Lola, zrywając się z krzesła.

„Nie, chyba tylko oczarowany pięknością pani!“ odrzekł z galanterją detektyw. „Nie mylę się, zdaje mi się, twierdząc, że pani chce ją wyszukać, — ale nie, by się nią zaopiekować, ale — by ją zgubić!“

Lola wzdrygnęła się.

Lister głosem zniżonym do szeptu rzekł poufale:

„Pani hrabino, proszę mi całkiem zaufać, — proszę sobie przedstawić, że pani mówi do swego spowiednika!"

Zaledwie przed kwadransem te same niemal słowa wyrzekł do Kazimierza.

„Niechże tak będzie!" gorącym potem oblana, ozwała się Lola.

„Tak, prawda, — nienawidzę tej dziewczyny i chcę jej zguby; nie potępiaj mnie, mój panie, nie uważaj za złą! Kocham mego męża nad życie, — i pogodzić się z tą myślą nie mogę, by jakaś istota jeszcze miała do niego prawo! Złość mnie taka opanowuje, że gdybym ją trupem u nóg mych widziała, nie miałabym litości nad nią".

„Cóż się więc ma stać z tą dziewczyną", badał ajent, „gdybyśmy ją w Paryżu wyśledzili?"

„Precz z nią z Paryża, — ani minuty nie śmie dłużej w tem mieście zabawić, — nawet, że się gdzieś we Francji znajdowała, nie zniosę! Mój panie drogi, nasłuchałam się tyle o pańskiej bystrości umysłu i doświadczeniu, — wynajdź, proszę, jaki sposób, bym ja spokój odzyskała".

„Sposób bardzo pojedyńczy, pani hrabino! — Dziewczynę trzeba usunąć, a że pani nie ma zapewne na myśli morderstwa, do czego i ja nigdybym ręki nie przyłożył, — musimy oglądnąć się za innym środkiem".

„To pewna, — ale ja pod tym wzgl. jestem tak uboga w pomysły, — cóż mam począć, by ta osoba nie stawała w drodze memu mężowi? O powiedz mi pan, po królewsku pana wynagrodzę!"

„Nagroda w cenie postępuje", pomyślał detektyw, „jej mąż obiecał mnie wynagrodzić po książęcemu a ona po królewsku. Zobaczymy, czy się uda jeszcze po cesarsku zostać wynagrodzonym".

„Pani!" rzekł Lister po małej pauzie, w czasie której zdawał się namyślać, „jest jeden pewny środek, by dziewczyna przestała istnieć dla mężczyzny, chociażby ją przedtem, nie wiedzieć jak, kochał!"

„Powiedz mi pan, — a co chcesz tylko, odemnie dostaniesz!"

„Co tylko chcę? Dobrze, pani, przyrzeczenia tego nie pani nie zapomnę. Teraz proszę posłuchać. Jeżeli tę dziewczynę znajdziemy, o czem zresztą nie wątpię, postaramy się, by wkrótce do innego mężczyzny należała."

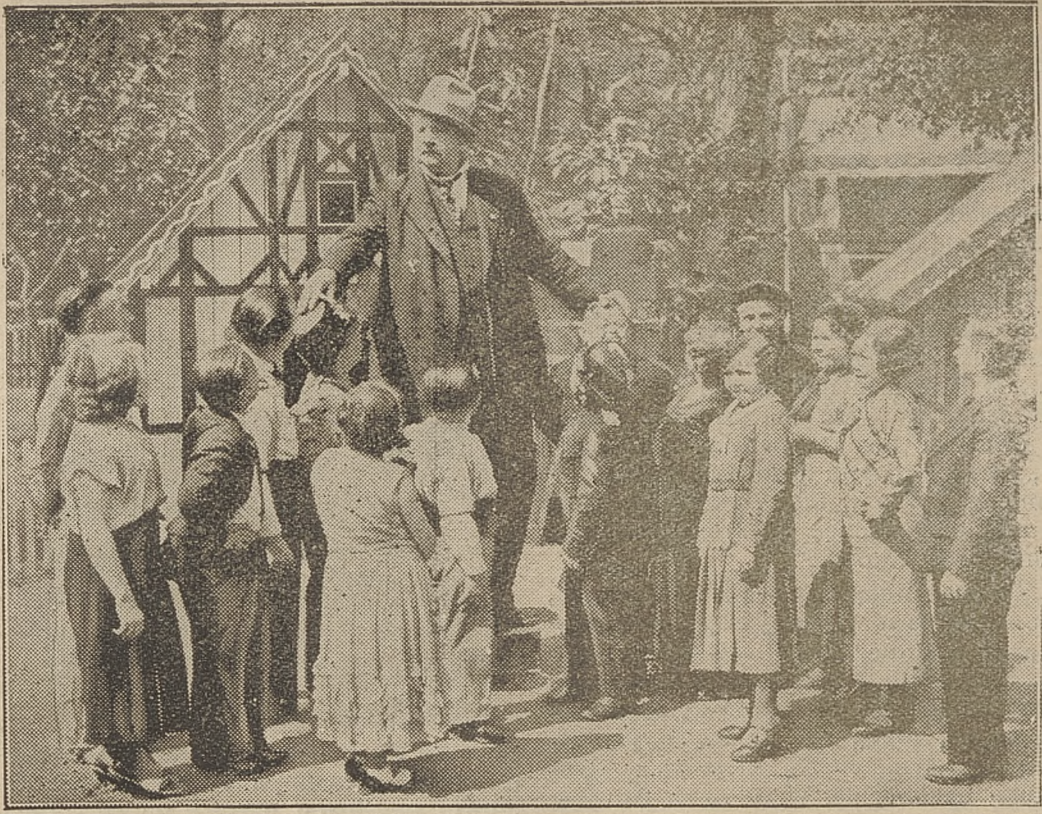
„Jakto, — czy dobrze zrozumiałam? Pan ją chce za innego wydać?"

„Zamąż wydać, — to troszkę za daleko posunięte! Ja ją dam w takie otoczenie, że upadnie fizycznie i moralnie. A gdy się raz błotem rynsztoku zwala, wtedy, ręczę pani słowem, — mąż pani więcej jej nie zechce."

„Znakomicie! Widzę, pan jesteś tym człowiekiem, jakiego ja potrzebuję. Czy mogę panu zaliczką służyć?"

Tu wyciągnęła Lola portefeuille, z którego kilka banknotów dobywała. Detektyw wstrzymał ją ruchem ręki.

„Pani hrabino! Dewizą moją: najpierw praca a potem płaca! Może pani zresztą być tego pewną, że jej sprawa w jak najlepszych spoczywa rękach. Będę panią ustawicznie informował o toku sprawy, — by zaś korespondencja ta



Słynny i znany u nas śpiewak filmowy Leo Slęzak, popisywał się onegdaj swym głosem w kolonji karzełków w berlińskiem Zoo, gdzie nakręca swój nowy film.

nie dostała się do rąk męża pani, przesyłać będę wiadomości w kopercie wielkiego domu mód. Takich listów nie otwiera nawet najzazdrośniejszy mąż!"

„W takim razie nie pozostaje mi nic więcej, jak panu na razie słowami gorąco podziękować. Żegnam pana, ale nieprawdaż, pan dochowa tajemnicy?"

„Pani hrabino, to mój zawód! Proszę przez te drzwi tapetowe do kręconych schodów. Nie zechce pani prawdopodobnie, by ją kto spotkał w moim domu."

„Nie, tylko to nie!" zawołała Lola i zasłoniła twarz welonem. „Bywaj pan zdrów, i proszę, — donieś mi, skoro dziewczyna znalezioną zostanie!"

Lola znikła za drzwiami. Lister pociśnięciem guzika zamknął drzwi i został teraz sam. Zaśmiał się na całe gardło.

„Wyśmienicie!" rzekł do siebie. „Mogę być z tego interesu zadowolonym! Ta podwójna gra powinna przynieść tysiące jak nie setki tysięcy. Jeżeli mąż i żona mają nawzajem przed sobą tajemnicę, — należą do mnie!"

Gospodyni zapukała do drzwi gabinetu a na wezwanie wszedłszy, zameldowała, że jeszcze siedem osób czeka, po rozmaitych pokojach porozmieszczanych, z których każda domaga się gwałtownie rozmowy z detektywem.

„Któraż to godzina?" rzekł do siebie Lister i rzucił okiem na swój zegarek kieszonkowy, czarny również, jak wszystko, co na nim i naokoło niego. „Już szósta wieczór? Na dzisiaj dosyć! Proszę powiedzieć tym wszystkim, co czekają, niech przyjdą jutro".

Gospodyni wyszła, Lister zamknąwszy starannie za nią drzwi, przeszedł do innego pokoju, który, jak urządzenie wskazywało, był sypialnią.

W okamgnieniu zrzucił z siebie czarny surdut, rzucając go w kąt.

„Dosyć tej komedji na dzisiaj!" zawołał. „Dosyć tych powszechnych zajęć, których celem zebranie jak najwięcej pieniędzy! — Teraz nie nazywam się Lister, nie jestem najsprytniejszym i najsławniejszym detektywem na kontynencie, — tylko tym, co owoce jego pracy spożywa. Dzień pracy minął, noc nadchodzi a z nią pora używania. Cały Paryż, — ten właściwy Paryż gotuje się do zabawy. Teraz dopiero życie! — Lister, detektyw, — przez dwanaście godzin nie istnieje! — Niech żyje markiz Satanelli!"

LVIII.

Markiz Satanelli.

Z wesołym uśmiechem przestąpił ajent próg sąsiedniego pokoju, którego urządzenie ponure było równie pojedyńcze, jak w pokoju, w którym zwykł gości przyjmować.

Otworzył szafę ścienną. Była przepełniona najrozmaitszemi, możliwemi garniturami i częściami ubrania, — i gdyby się nie wiedziało, że rzecz się dzieje w domu detektywa, a więc człowieka, który często zmieniać musi toaletę, szukając śladów zbrodniarzy, — zdawałoby się, że jest to garderoba jakiegoś aktora, co dzisiaj gra rolę żebraka, jutro króla, — kiedyindziej dżentelmena, lub też skąpca, — posiadać zatem musi garderobę odpowiadającą każdorazowo roli swojej.

Była tam więc najwybredniejsza garderoba obok brudnej i wstrętnej żebraka, nie mającego przytułku, zmuszonego zatem noce przepędzać na schodach jakiego domu lub też pod gołem niebem.



W chwili, gdy my cieszymy się na widok zaróżowiających się czereśni, w pięknych winnicach nad Renem ludność tamtejsza raduje się na winobranie, które w tym roku zapowiada się wspaniale.

A i kosztowne uniformy tam były, złotem obszyte, — nie brakowało też sukien duchownych tak świeckich jak i klasztornych.

Ktoby chciał kostjumu na bal maskowy, znalazłby ogromny wybór, — jednem słowem: każdy gust, każdy wiek i zawód znalazłby ,co mu z garderoby potrzeba.

Mimo tak wielkiego wyboru nie namyślał się Lister ani na chwilę, w co się ma ubrać.

Długo nie trwało a przed wysokiem lustrem u boku którego paliły się z obu stron płomienie gazowe, stanął skończony dżentelmen.

Gdyby ajenta teraz kto zobaczył, — pantalony koloru szarego, — kamizelka haftowana, — elegancki, według najnowszej mody skrojony surdut, — bielizna nieposzlakowanej białości, — na palcu pierścień brylantowy, tak samo spinki u koszuli, — włosy starannie przyczesane, — śliczna, widocznie pielęgnowana broda, — szedłby o zakład, że człowiek ten był członkiem jakiejś znakomitej, francuskiej rodziny i całe życie obracał się wyłącznie w tych kołach ,których najprzedniejszych reprezentantów szukać należy we Francji i Paryżu, — co więcej, że należał do tej kategorji dżentelmenów, którzy chcą wychylić kielich rozkoszy aż do dna a gdy świat dla nich nie ma już więcej powabu, bardzo często sami pozbawiają się życia.

Na głowę nałożył elegancki, jedwabny cylinder, — wdział krótką, jasną zarzutkę, również według najnowszego żurnalu mód skrojoną, — naciągnął jasno-żółte rękawiczki, do ręki wziął laskę ze srebrną gałką, — typ skończonego eleganta, pewnego siebie.

Sprawiał takie wrażenie, jakby przedtem, gdy się zwał ajentem Listrem, maskę miał na sobie i dopiero teraz okazywał się w prawdziwej postaci, wychodząc z domu, jako markiz Satanelli.

Satanelli, — tak go będziemy teraz nazywali, — zeszedł po tych samych kręconych schodach, któremi Lola do jego gabinetu była przyszła, — na ulicę.

Na rogu stał zamknięty powóz.

„Pod „czerwoną kotkę!" zawołał Satanelli na woźnicę, który ocknąwszy się z drzemki, pochwycił cugle i bat.

Satanelli rozparł się na jedwabnych poduszkach powozu, — z dziwnym uśmiechem spoglądał przez szyby powozu na nocą przysłonięte, ulice Paryża.

„Znam was wszystkich", mówił do siebie z szatańskim uśmiechem markiz, patrząc na przechodniów, — na w jedwabiach przechadzający się półświatek, — na żebraków w gałganach, — na dandysów strojnych, — wychodzących na łup, jedni za pieniędzmi, drudzy za miłością, — „obracam wami wszystkimi, jak chcę ,bo kto z was nie ma ze mną do czynienia jako markizem Satanellim, ten prędzej lub później wpadnie w ręce detektywa Listra.

„Mam uczucie, jakbym był owym djabłem kulawym, co nocą poodkrywał wszystkie dachy w Madrycie, by z wysokości góry zaglądać do wszystkich domów i wszystkie tajemnice nocy wybadać. — Tak, tak, te wszystkie tajemnice Paryża, ja je znam, jak nikt inny i — potrafię je zużytkować.

Po stosunkowo krótkiej jeździe zatrzymał się powóz w ciasnej ulicy. Markiz wysiadł i wszedł do sieni dwupiętrowego domu.

Ten dom znany był w całym Paryżu, i to nie z najlepszej strony. „Pod czerwoną kotką" zwano go. Ktoś obcy przechodząc, aniby się nie domyślił, jakiemu celowi ten budynek służy.

Z zewnątrz wyglądał pojedyńczo, — a nawet z frontu zamieszkały był przez nieliczne rodziny, o których zresztą, jak i o wszystkich mieszkańcach tej ulicy nic dobrego nie opowiadano.

Gdy się przeszło jednak przez sień, którędy właśnie szedł markiz Satanelli pewny siebie, jak człowiek, który tu każdy kąt znał, — po otwarciu drzwi ukazywał się oczom budynek, który wielki stanowił kontrast do otoczenia.

Wyglądał jak dom szklany, — bo miał tak wielkie okna, że ścian prawie nie było widać.

W ubogiem otoczeniu małych domków, których mury tworzyły podwórze, robił czarodziejskie wrażenie. Cały dom płonął jakby jednem światłem, — za wysokiemi szybami w szalonym tańcu wirowały szczególniejsze, fantastyczne postacie, a tony namiętnego tańca jakiegoś rozbrzmiewały wokoło tak, że ktoś obcy nie wyszedłby ze zdziwienia patrząc na to w tej tak ubogiej ulicy.

Paryżanin, używający świata, wiedział dobrze, że to dom balowy „pod czerwoną kotką", — jeden z najsłynniejszych stolicy francuskiej, — jedno z tych miejsc, gdzie co nocy chęć używania i występek schadzkę sobie dają i orgie wyprawiają, o których na szczęście szersze koła społeczeństwa ani pojęcia nie mają.

„Czerwona kotka" nie była wcale zwyczajną salą balową, — nie można porównać jej z pewnymi domami, jakich w Paryżu jest wiele, — domami, do których wstęp dla występku i używania otwarty dla wszystkich, co się zawodowo zajmują występkiem lub tych, którzy je z przyzwyczajenia nawiedzają.

Gośćmi „czerwonej kotki" były nie same kobiety z półświatka i ich wielbiciele, — były tu i osoby, co we dnie pobożną maskę noszą, którą całe swe otoczenie łudzą.

Młode mężatki z lepszych domów, — a nawet z pierwszych sfer towarzystwa, — nawet takie, co to chodzą ze spuszczonym wzrokiem a przy każdem słowie, przekraczającem pewne granice przyzwoitości, rumienią się wstydliwie, w ukryciu jednak karmią żądzę uciech, używania świata, zabawy, grzechu i zachwytu, — cichaczem przekradają się w nocy do „czerwonej kotki", kryjąc twarz pod maską.

Mężczyźni na poważnych stanowiskach, o których nie poważyłby się nikt nic uchybiającego powiedzieć, którzy jednak w rzeczywistości, tj. skrytości przeciwieństwem są tego, za co uchodzą — tacy dżentelmeni przekradają się nocą do „czerwonej kotki" i by ich kto nie poznał, zasłaniają się również maską.

Tu się świat, co się bawi, schodzi, — tu używa, — pije do dna z czary rozkoszy a potem, zanim kogut zapieje zanim ranek nad Paryżem zaświta, spieszy do domu, — i bierze drugą maskę, którą w dzień okłamuje. Ta — udając uczciwą kobietę — inna niewinną dziewczynę, — lub też ten i ów moralistę, który się brzydzi występkiem.

Gdy markiz Satanelli wszedł do sali, była właśnie pauza w tańcu.

Muzyka grała ciągle jeszcze. Znużone dzikim, wyuzdanym tańcem kobiety spoczywały z gwałtownie falującemi piersiami i przyspieszonym oddechem w pół leżącej postawie na szeslągach. Wielbiciele obok nich, — trzymają ręce ich w swych dłoniach, — spoglądają w ich oczy, pełni jeszcze zachwytu, w jaki ich taniec wprawił.

Przy bufecie, znajdującym się w kącie sali, stała grupa gości i delektowała się winami i przysmakami.

Śmiech rozlegał się z tego kąta, — szklanki, co chwila uderzane o siebie wydawały dźwięk, — i niejedno słowo, — niejeden żart zanadto brutalny dał się słyszeć, — ale te kobiety się nie rumieniły.

„Markiz Satanelli idzie!" poszło z ust do ust, — spojrzenia wszystkich skierowały się na bladego, o ciemnej, pięknej brodzie mężczyznę, który zwolna kroczył przez salę.

W następnej chwili otoczyło go mnóstwo kobiet półświatka, każda się poufale z nim witało, każda z nich usiłowała, wziąć jego ramię w posiadanie.

Detektyw rzucił okiem dokoła ponurym, który kobiety odstręczył.

„Nie w humorze jest dzisiaj", rzekła jedna z nich do drugiej, „wiesz, — od niego trzeba z daleka, gdy mu mucha na nos siądzie".

„To prawda", rzekła druga, blondynka, młoda, o pełnych formach, w sukni zielonawego koloru, na piersiach i plecach wyciętej do niemożliwości, — „ja go się wogóle boję, — ja mu nie mogę spojrzeć w oczy".

„Nie ty jedna, co drży przed temi oczami", brzmiała odpowiedź drugiej, — „siwe oczy markiza są znane w całym Paryżu".

Markiz zdawał się nie słuchać tych rozmów, choć po części dochodziły do jego uszu. Oglądał się, jakby kogoś szukał.

Nagle snać odkrył, bo skierował swe kroki wprost do filaru, o który wsparta stała wysokiego wzrostu dziewczyna, nadzwyczaj piękna i młoda. Twarz jej jednak nie zdradzała wesołości, którą cała sala była przepełniona, — owszem patrzyła ponuro z pewną zadumą przed siebie.

Kształty jej ciała były przecudownej piękności, — rysy twarzy nadzwyczaj szlachetne, — jedwabne, czerwone włosy ciężarem jej być musiały, — tak bujne były.

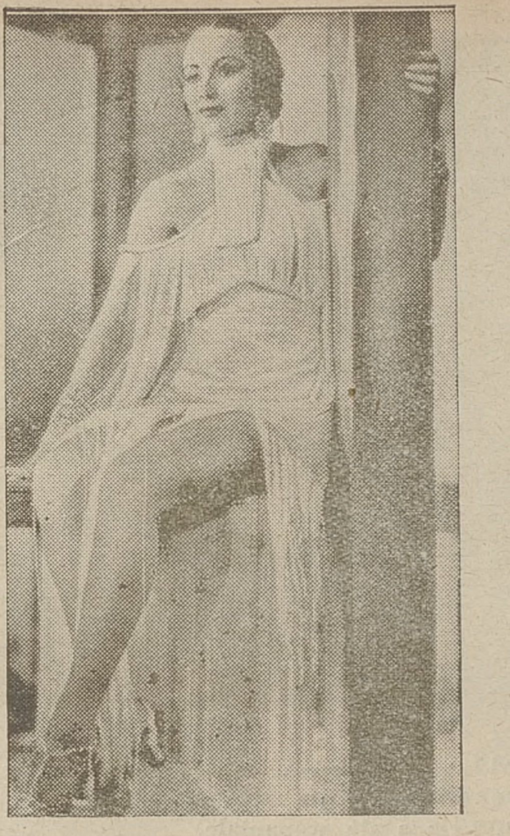
Była jakby w myślach, czy marzeniach zatopiona, — głucha na otoczenie, jakby zapomniała, gdzie się znajduje, — piękne, zmysłowe jej usta miały wyraz rozgoryczenia.

Słysząc zbliżające się do niej kroki, ocknęła się, podniosła głowę, — ujrzawszy bladego, czarnobrodego mężczyznę, zrobiła ruch, jakby chciała uciec przed nim.

Ale gdy wpił w nią wzrok swój „stanęła, jak przykuła, — jakby poddając się jego woli, której opierać się, nie miała siły.

„Mam z tobą do pomówienia, Celestyno", szepnął jej Satanelli, „oczekuję cię za kwadrans w twoiem mieszkaniu".

„A jeżeli nie przyjdę", odpowiedziała mu Celestyna, „jeżeli zabronię panu przekraczać próg mego mieszkania, — robić użytek z klucza, który pan masz ciągle jeszcze w posiadaniu od tej przeklętej chwili, gdym — o, mój Boże, nie chcę myśleć o tem, bo inaczej zwarjuję! Czyż to możliwe, że był kiedyś czas, kiedym pana z tęsknotą w tem małem mieszkaniu oczekiwała!"



Dolores del Rio, gwiazda amerykańskiego filmu, zbiera laury w swym najnowszym filmie, w którym odtwarza piękne ewolucje taneczne.

„Szalona", wycedził przez zęby Satanelli, „jeżeli się odważysz w tym tonie do mnie przemawiać, — jeżeli ci się uroi, że będziesz mogła usunąć się z pod mego wpływu, — natenczas — — Za kwadrans, jak powiedziałem, chcę się z tobą widzieć, i wiem, że przyjdziesz".

Utkwił swój wzrok w jej oczach. Drżenie opanowało jej postać, — głowa opadła na piersi a nerwowo kurczące się usta wyszeptała:

„Przyjdę".

Markiz Satanelli odwrócił się od niej, — wszedł w tłok masek, następnie przystąpił do bufetu.

Zażądał kielich szampana.

Sam właściciel podał mu go. W tej chwili, gdy Satanelli brał kielich z jego ręki, szepnął mu:

„Słuchaj, jednooki", — chudy i bez zarostu miał rzeczywiście tylko jedno oko, — „chcę z tobą pomówić! — Za kilka minut przyjdziesz do małego pokoju, za salą".

„Teraz nie mogę, — takie mnóstwo gości, że sobie rady dać nie mogę, teraz zwłaszcza w czasie przerwy!"

„Musisz przyjść!" rozkazującym tonem rzekł Satanelli, „a jeżeli raz jeszcze ośmielisz się sprzeciwić moim rozkazom, dostaniesz się tam, gdzieś być powinien i gdziebyś dotąd jeszcze przebywał, gdyby nie ja".

Jednym haustem wypróżnił kielich i postawił na tacy, którą jednooki właściciel „czerwonej kotki" w rękach trzymał.

Kielich na tacy przewrócił się, — tak ręka gospodarza drżała.

„Niech pan idzie naprzód", wyrzekł z trudnością jednooki, „zaraz, — za kilka minut przyjdę do pana".

Z zadowoleniem skinął głową tajemniczy nasz mąż z dziwnemi szaremi oczyma, do którego woli wszystko tu się zdawało stosować. Odstąpił od bufetu i podszedł do małych drzwi, które się znajdowały za ciemno-zieloną kotarą.

Otworzywszy je, wszedł do małego pokoju, który zdawał się być pracownią gospodarza. Było w nim tylko biurko, mała sofa i zwierciadło. Na ścianach wisiały mapy. Lampa nad biurkiem wisząca, rzucała tylko słabe światło.

Satanelli rzucił się na sofę, — wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę i zaczął kręcić papierosa.

Jeszcze go nie skręcił, a już jednooki właściciel „czerwonej kotki" stanął przed nim.

„Otóż jestem!" rzekł z uniżonym ukłonem: „czem mogę służyć markizowi?"

„Kto z naszych jest tu jeszcze?" pytał Satanelli, zapalając papierosa.

„Alfred Robber", odrzekł gospodarz, „potem mały, gruby Habicht i stary Pifferon ze synem! — Czy mają tu przyjść?"

„Niech przyjdą," odrzekł markiz, „dam im jedno zlecenie. Ale i ty się tu wróć, byś słyszał, co wam powiem".

W kilka minut później wszyscy ci czterej wezwani stanęli przed markizem, który ich wyniośle, lekkiem tylko skinieniem głowy powitał.

„Zamknij drzwi, jednooki", przemówił Satanelli, „a potem słuchajcie. Na razie nie chodzi o żadną zbrodnię, lecz o pewne, specjalne zlecenie, które wam dam:

„Szukam jednej dziewczyny, która się 29 maja, a więc przed dwoma dniami rzuciła z mostu „Pont des Arts" do Sekwany, mojem zdaniem jednak nie utonęła. Macie dopytywać się o nią a zwłaszcza poinformować wszystkich naszych ajentów, by mi natychmiast donieśli, gdyby się ślad jaki znalazł.

„Ty, Alfredzie, porozumiesz się ze wszystkimi złodziejami Paryża, jak i dziewczętami ulicznemi. Zajdziesz do każdego gniazda zbójeckiego i tam rozgłaszać będziesz, że dziewczyna zaginęła, względnie dowiadywać się, czy jej kto nie widział. Opis — jak wygląda dziewczyna — dam wam wszystkim razem, później. — Mogę się na ciebie spuścić, Alfredzie?"

„Z wszelką pewnością markiz może na mnie liczyć", odrzekł odrzekł Robber z taką uniżonością w zachowaniu się i głosie, jakiejby zresztą żadnemu człowiekowi nie okazał.

„Dobrze, — możesz tej mojej wdzięczności być pewnym".

„Co do ciebie, Habichcie", — mały gruby człowieczyna postąpił o krok naprzód, — „ty będziesz się dopytywał po obydwóch brzegach Sekwany, o ile rzeka Paryż przecina, czy fale nie wyrzuciły gdzie dziewczyny na brzeg. Następnie wejdziesz w stosunki z żebrakami, a jest ich z pięćdziesiąt tysięcy w Paryżu, — z gildą żebraków. — Opiszesz im, jak dziewczyna wyglądała, — a który z nich na wędrówce swojej spotka ją, ma ci natychmiast o tem donieść".

„Zaraz jutro uczynię to, markizie!" zapewniał Habicht, „dołożę wszelkich starań, bym mógł pomyślną wiadomość przynieść".

„A wy zaś, obydwaj", zwrócił się do Pifferonów, ojca i syna, Satanelli,

„zaimiecie się cmentarzami, — celem waszym będzie dowiedzieć się, czy w jednym z ostatnich dni nie pogrzebano jakiej dziewczyny, ze Sekwany wyciągniętej. — A może wiecie już co o tem?"

„Dziewcząt pochowało się dosyć", odpowiedział stary Pifferon, wykrzywiając swą twarz do brzydkiego uśmiechu. „Samobójczyń nie brak było w ostatnich czasach. Ale o takiej, którąby ze Sekwany wyciągnięto którąby się mniej więcej około 29 maja z mostu „Pont des Arts" rzuciła, — nie, o takiej nie słyszałem, takiej między niemi nie było".

„Jesteś tego pewnym, Pifferon? Wiesz, że pomyłek nie znoszę".

„Całkiem pewnie, panie", oświadczył grabarz.

„Dobrze, — macie więc obydwaj pilną zwracać uwagę na każdego trupa, który w ciągu następnych dni, względnie tygodni, będzie chowany, a zwłaszcza na cmentarzu ubogich.

„I to pilnie mi się zabrać do roboty, — wy wszyscy!"

„A ty, jednooki", rzekł do gospodarza, „ty się znowu porozumiesz ze wszystkimi twymi kolegami, właścicielami spelunek, małych oberż, gdzie biedacy zachodzą.

„Pytaj i dowiaduj się, czy nie widziano gdzie takiej dziewczyny, jak ci opiszę. Znieś się następnie ze wszystkimi lombardami w Paryżu i żądaj, by ci natychmiast doniesiono w razie, gdyby w którym z nich zastawiał kto bieliznę znaczona: A. D. — zapamiętaj sobie dokładnie: A. D. — nie zapomnij".

„Będę pamiętał", zapewniał gospodarz, — „wszystko stanie się, jak markiz żąda".

„A teraz", ciągnął dalej markiz obojętnym głosem, „opiszę wam, jak ta dziewczyna wygląda. Sam jej wprawdzie nie widziałem, ale wiem to od osób, posiadających pod tym względem jak najdokładniejsze wiadomości.

„Przedewszystkiem ma być nadzwyczaj piękną.

„Włosy ma ciemne, miękkie jak jedwab, — szlachetny owal twarzy, — bardzo ładne, ciemne oczy, — wspaniałą, pełną wdzięku naturalnego postać, — i nazywa się Anielcia Dubois".

Satanelli nie spostrzegł, że, gdy nazwisko dziewczyny wymienił, Robber drgnął. Z wprawą człowieka, umiejącego znaleźć się w każdej sytuacji, zapanował zaraz nad sobą, nie zdradzając dalszem zachowaniem się, że mu to imię jest znane.

„Wiecie więc, co macie robić", ciągnął markiz dalej, „spodziewam się, że jeden z was dziewczynę odnajdzie. W takim razie ma mnie natychmiast o tem uwiadomić i dokładnie podać miejsce, gdzie się znajduje.

„Ona sama naturalnie nie powinna się nawet i domyślać, że jest śledzona, — ma zostać tam, gdzie ją odkryto, — potem ja sam, co potrzebne zarządzę. — A teraz, moi przyjaciele, bawcie się dalej. Gdyby mię który z was potrzebował, wiecie, gdzie mię można znaleźć. — Nie potrzebuję wam powtarzać, że los was wszystkich w moich rękach spoczywa, — i że w mojej mocy jest tego, który ślepo i bezwarunkowo moich rozkazów nie spełnia, zniszczyć. A teraz do widzenia!"

W milczeniu, jak przyszli, tak się wszyscy pięciu oddalili teraz. We wzroku ich, którym na swego pana spoglądali, czytać można bojaźń jakąś i strach.

— Tak spoglada lew lub tygrys na swego poskromiciela, któregoby chętnie rozdarł w kawały, popróbował siły swojej na nim, gdyby nie pozostawał pod wpływem jego żelaznej woli.

„Znajdą ją", mówił do siebie Satanelli, gdy się znowu sam znalazł w pokoiku, „w ten sposób nie ukryje się przede mną. Jeżeli jej ulicznice i szajki łotrowskie nie nadybią, natrafią na ślad jej niezawodnie żebracy, co się do wszystkich domów wciskają. Pifferon i jego syn będą uważali na cmentarzach, — żaden zmarły w Paryżu nie ujdzie ich uwadze. A w końcu, — i jednooki zrobi swoje. Zwróci na dziewczynę uwagę wszystkich małych oberżystów i właścicieli lombardów. — Na każdy sposób komuś z nich wpadnie w ręce, naturalnie, jeżeli jeszcze żyje.

„A teraz do niej, — kwadrans już minął, — Celestyna oczekuje mnie."

Podczas ostatnich słów rzucił okiem na zegarek, postąpił ku małym drzwiom, otworzył je i zszedł po schodach.

Te schody prowadziły na długi korytarz. Ten ciągnął się wzdłuż całego podwórza i kończył się w dwupiętrowym, frontowym budynku, który od ulicy „czerwoną kotkę" zakrywał.

Ten budynek ze swymi krecowymi korytarzami, sieńmi i mnogością drzwi robił wrażenie kasarni, w której zagnieździła się bieda.

Za każdemi drzwiami zdawało się mieszkać nieszczęście w innej postaci, — tak wszystko wyglądało biednie i zaniedbanie.

Satanelli wyszedł na drugie piętro, — stanął przed drzwiami, które długą sień na prawo przecinały, — pocisnął za guzik, — drzwi otwarły się, — i markiz znalazł się w pokoju, w którym wchodzącemu szczególniejszy i zajmujący obraz się przedstawiał.

LIX.

Dwie biedne siostry.

Ten pokój, jak i wszystkie ubikacje tego domu, był nadzwyczaj pojedyńczo urządzony. Różnił się jednak od większej części mieszkań tem, że w nim jak największa czystość panowała.

Szare, zczerniałe mury małego pokoju były oblepione różnokolorowymi obrazami, zdaje się, powycinanymi z ilustrowanych dzienników, — nad łóżkiem zwisała kotara z pstrego perkalu, — stół i krzesła jak i nieliczne sprzęty, znajdujące się w tym pokoju, lśniły się czystością, — nigdzie ani plamki, ani kurzu lub najmniejszego śladu zaniedbania.

Kotara perkalowa była odsunięta, — na łóżku spoczywała młoda dziewczyna lat mniej więcej 18, która się przy wejściu markiza nieco podniosła.

Dziewczyna ta musiała do niedawna jeszcze być cudownie piękną. Teraz jednak na tej twarzyczce, ciemnemi lokami okolonej, widać było rękę śmierci. Wklęsłe policzki, głęboko osadzone, piękne, smętnie patrzące oczy, zapadnięta pierś, — to wszystko nie pozostawiało najmniejszej wątpliwości, że młoda nieszczęśliwa staje się łupem śmierci, która u jej łoża już czyha, — srogi, nieubłagany, nielitościwy wróg wszystkiego, co tchnie życiem!

Przy łóżku klęczała, we łzach się rozpływająca, w boleści pogrążona, piękna, rudowłosa Celestyna, — przepiękna, o pełnych formach ciała młoda kobieta, z którą spotkaliśmy się już w szklanym pałacu „pod czerwoną kotką".

Satanelli stanął i patrzał na te dwie kobiety, których podobieństwo do siebie, mimo przerażającej zmiany, zaszłej na twarzy chorej, było tak wielkie, że każdy poznał, iż są to dwie siostry.

Celestyna nie spostrzegła go, jak wszedł. Markiz bowiem obecności swojej nie zdradzał najmniejszym szelestem, stojąc u drzwi.

„Bądź zdrowa, siostro!" mówiła chora głosem cichym, drżącym od łez tłumionych — półszeptem raczej, pełnym jednak niewymownego wdzięku. „Koniec już ze mną! Biedna Celestyno, opuszczę cię wnet i zostawię samą!"

Celestyna wybuchnęła płaczem, chwyciła wychudłą rękę siostry, — a rzucając się na wpół na łóżko, porwała umierającą w swe ramiona.

„Nie, ty nie odejdziesz ode mnie, Nanetto, — ty musisz zostać przy mnie! Coby się ze mną stało, gdyby mi ciebie zabrakło, — ciebie, mojego dobrego Anioła, — ciebie, jedyną na ziemi istotę, którą prawdziwie i nad życie kocham, — jedyne serce, które dla mnie i we mnie żyło, — mnie również gorącą miłością odpłacało."

„Tak, siostrzyczko!" przerwała chora, wychudłe ręce kładąc na głowę siostry. „Kochałam cię bardziej, niż siebie samą. I jeżeli odejść muszę od ciebie nie żal mi za życiem, chociaż nie tak łatwo, licząc zaledwie 18 wiosen, rozstawać się z niebem lazurowem, pięknymi, zielonymi lasami, srebrzystymi strumieniami i tem wszystkiem, co ziemia ma pięknego i wspaniałego. Ale wiesz, moja Celestyno, ja sądzę, że tam w górze, dokąd pójdę, tysiąc razy piękniejsze jeszcze rzeczy oglądać będę."

Celestynie łzy przytłumiły głos, — słowa wypowiedzieć nie zdołała, — cała jej postać drżała — odziana jasno-niebieską, jedwabną suknia, która dziwnie smutny kontrast tworzyła z ubogiem otoczeniem, które mały pokój i jego bardzo pojedyńcze urządzenie tworzyły.

„Nad sobą nie płaczę", ciągnęła dalej Nanetta; „wiesz, Celestyno, życie biednej dziewczyny nie jest tak piękne i nie ma tyle powabu, by go żal było utracić. Ale, — co z tobą się stanie, z tobą, co sama jedna zostaniesz na ziemi? Tyś taka piękna, Celestynko, a ludzie tacy źli, — piękność tak łatwo może przyprawić o zgubę. — Gdy duch mój rozstanie się z ciałem, krążyć będzie nad tobą, by ci się nic złego nie stało, byś szwanku najmniejszego nie poniosła ani na duszy, ani na ciele. Wierzaj mi siostrzyczko, jeżeli to możebnem jest, dam ci się poznać, — po śmierci!"

gęś. Nie potrzebowałam długo czekać na odwet. (C. d. n.)

HUMOR

Czarna kawa

Pani Natalja częstuje gościa czarną kawą, sporządzoną własnemi rączkami.

— Pozwoli pan cukru?

— O, za żadne skarby, — woła gość. — Cukier odbiera smak czarnej kawie. Prawdziwy smakosz pije tylko gorzką.

Po chwili gość z mocno niewyraźną miną odzywa się do gosposi:

— Hm... może jednak tym razem pani pozwoli mi cukru.

Gdy się jest sławnym

— Oto mój autograf, czy pan jeszcze chce coś odemnie?

— Tak, poproszę o pańskie wieczne pióro.

„Wykąp się za mnie“

Księżna Leokadja siedzi w salonie i czyta francuską książkę. Wchodzi pokojówka i melduje:

— Kąpiel gotowa, proszę jaśnie pani...

Księżna przeciąga się leniwie, ziewa i odpowiada:

— Jestem strasznie zmęczona... Wykąp się za mnie, Marysiu, tylko żeby woda nie była zbyt gorąca, bo wiesz przecie, że nie znoszę gorącej kąpieli...

Podczas brydża

Kilku lekarzy zasiadło do brydża.

— Kolega strasznie długo się zastanawia! — przygaduje przy rozgrywce internista chirurgowi.

— Trudno, kochany kolego... — odcina się chirurg. — Brydż to nie grypa... Tu trzeba trochę pomyśleć...

— W takim razie — palnął internista — nie zazdroszczę waszym pacjentom, skoro zaczynacie się zastanawiać dopiero w trakcie operacji!

Wiadomości z pism:

.... Jak się dowiadujemy, znany badacz przyrodniczy, prof. Kołowajtys, podjął nową wyprawę do Ameryki Południowej. Wyprawa została zorganizowana przez „Klub Szaradzistów“ w celu odkrycia nowych trzyliterowych zwierząt do krzyżówek.

*

— ...po świetnej obronie mecena Kulparkowskiego, oraz po uwzględnieniu okoliczności łagodzących, sąd skazał Antoniego Pączka na karę śmierci przez powieszenie.

Zarzut

Na podwórzu zakładu dla warjatów rozmawiają dwaj pacjenci.

— Widzisz? — powiada jeden z nich. — Dozorca zapomniał zamknąć bramę... Można teraz uciec...

— Uciec?... Zwarjowałeś?!... Przy takiej wstrętnej pogodzie?

Odciął się

Pan Filip jest bardzo przystojnym młodzieńcem, tylko szpecą go nazbyt odstające uszy.

W pewnem towarzystwie, do którego zaliczał się również pan Filip, rozprawiano na temat skomplikowanych zagadnień politycznych, których Filip w żaden sposób nie mógł zrozumieć.

— Wcale się temu nie dziwię, że pan tego nie rozumie... — wtrącił młody adwokat, chcący się popisać dowcipem. — Jak może zrozumieć coś człowiek, posiadający tak wielkie uszy?...

— Pan ma rację... — odparł Filip. — Ja mam zbyt wielkie uszy jak dla człowieka, ale pan ma zbyt małe jak na osła...

Matrymonjalne oferty

W gazecie, w rubryce: „matrymonjalne“ ukazało się następujące ogłoszenie:

„Mężczyzna w sile wieku poszukuje dobrej, uczciwej i miłej towarzyszki życia. Oferty sub. „Spragniony“.

Nadawcą tego ogłoszenia był pan Hipolit, któremu znudziło się kawalerskie życie i postanowił się ożenić. Na drugi dzień od ukazania się ogłoszenia otrzymał mnóstwo ofert, których większość zaczynała się w ten mniej więcej sposób:

„Jeżeli pan szuka dobrej, miłej i uczciwej żony, to polecam moją...“

Nr. 71

Frajerkiewicz pojechał do Berlina. Poraz pierwszy w życiu. Znalazłszy się na głównej ulicy miasta, rozejrzał się dokoła, podszedł do policjanta i pyta:

— Czy mógłby mnie pan poinformować, jak ja się stąd dostanę na Oranienburg Strasse?...

— Najlepiej niech pan pojedzie autobusem... — radzi mu stróż bezpieczeństwa.

— Jakim autobusem?...

— Nr. 71! — odparł policjant i wskazał mu, gdzie jest przystanek autobusowy.

Gdy po godzinie przechodził obok przystanku, ujrzał Frajerkiewicza stojącego na tem samem miejscu.

— Człowieku!... Jeszcze pan czeka?... Kiedy pan już wsiądzie?!

— Za chwileczkę... Teraz już przejechał 70-ty autobus... Następnym już pojadę, jak pan kazał.

Oszczędni ludzie

Najoszczędniejszym człowiekiem był mój znajomy, który między jednem a drugiem umaczaniem pióra zakrywał kałamarz, aby mu atrament nie wysychał.

— E, to nic, ja znam jeszcze oszczędniejszego człowieka. Zatrzymuje on na noc zegar, aby się wskazówki nie ścierały napróżno.

— To jeszcze nic — wtrącił trzeci — mój wuj nie czytuje gazet przez oszczędność; chce by szkła w okularach na dłużej mu wystarczyły.

Myśliwy

Pan Walenty wraca z polowania. Po drodze spotyka znajomego.

— No, jak tam? Nic pan nie upolował? — pyta znajomy.

— Owszem...

— Jakto?... Przecie widzę, że torba jest pusta...

— A czegoby pan chciał?... Żebym postrzeloną żabę w torbie dźwigał?

Znak czasu

— Jaka zdolność jest obecnie najwięcej ceniona?

— Zdolność płatnicza, proszę pana.

Dowcipniś

— Popatrz Kundziu, tutaj w gazecie jest coś o tobie.

— O mnie — to chyba niemożliwe?

— Jakże nie — tu jest artykuł, że teraz na świecie mamy za dużo kobiet.

Pocieszył go

— Czyś ty już zupełnie zapomniał mój drogi, że jesteś mi winien 100 złotych?

— Ależ nigdy, jak możesz mnie posądzać o coś podobnego. Będę o tej pożyczce pamiętał do samej śmierci.

Racja

— Tatusiu, a co ludzie przedtem mieli, gdy jeszcze nie było ani radja, ani gramofonu?

— Spokój, mój synku.

Z jakim przestajesz...

— A wie pani, że państwa pies to ciekawy okaz, — mówi gość — wobec obcych zachowuje się przyjacielsko, a na domowników ujada przez cały czas.

— Tak proszę pana, bo on ciągle przebywa z moim mężem.

Pochwała

— Panie Majster, pan jest bardzo dzielnym pracownikiem, zasługuje pan właściwie na daleko wyższą pensję...

— Panie dyrektorze, pan bardzo na mnie łaskaw.

— Dlatego radzę panu obejrzeć się za inną posadą.

Trzeźwa odpowiedź

Gość w restauracji przywołuje kelnera i powiada:

— Panie dyrektorze, pan bardzo dla mnie jest zupełnie zimna!

— Możliwe, proszę pana, — odpowiada kelner — że kucharz się upił i gotował bez ognia...

Dowód uczciwości

— No dobrze, przyjmę was na tę posadę, ale muszę wiedzieć, czy jesteście uczciwi.

— Proszę pana, można na mnie polegać; pracowałem przez 10 lat w zakładzie kąpielowym, a nie wziąłem żadnej kąpieli.

Przez pocztę...

— A jakże pani mąż dzisiaj rano przyszedł do domu po całonocnej hulance?

— Nie uwierzy kochana pani, gdy powiem, — przez pocztę. Listonosz mi go odprowadził.

Ósme niebo

— Twoje pocałunki, najdroższy, są dla mnie ósmem niebem.

— Chciałaś chyba powiedzieć siódmem?

— Nie. Byłam już siedem razy zaręczona.

Roztargnienie czy złośliwość?

Pan Bolesław czyta różowy liścik. Przyjaciel Bolesława pyta:

— Co ty czytasz?

— List miłosny mojej żony.

— Do kogo?

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.